ŁOWIEC POLSKI



52 ROK WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 4 (977) KWIECIEŃ 1950 R. CENA 60 ZŁ

Łowiecki Konkurs Literacki

Komitet Redakcyjny Łowca Polskiego, pragnąc zasilić pismo utworami beletrystycznymi i przyciągnąć do współpracy nowe siły, zwłaszcza z prowincji, ogłasza KONKURS NA KRÓTKIE UTWORY LITERACKIE W POSTACI NOWEL, OPOWIADAŃ, WSPOMNIEŃ itp. na tematy łowieckie lub na tle życia łowieckiego oparte.

Utwory powinny być krótkie, mogące się zmieścić na 4 do 5 stronach Łowca Polskiego, a więc liczące 8 DO 10 STRON MASZYNOPISU o 30 wierszach i 40 znakach pisarskich w wierszu. Ilustrowanie prac zdjęciami czy udatnymi rysunkami jest pożądane.

Prace, nadesłane na Konkurs, powinny być przepisane na maszynie jednostronnie, z interliniami (odstępami między wierszami) i z marginesem dla poprawek i uwag dla drukarni. Podpisane być winny godłem, zaś nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Dla prac wyróżnionych wyznaczono pięć nagród: I — W KWOCIE 30.000 ZŁ, II — 20.000 ZŁ i TRZY NAGRODY PO 10.000 ZŁ. Autorzy prac nagrodzonych otrzymają po 5 egzemplarzy Łowca Polskiego z pracami wydrukowanymi oraz normalnie przypadające honorarium. Poza tym inne prace mogą być uznane za zasługujące na zamieszczenie w Łowcu Polskim z opłatą honorarium normalnego i z prawem do 2 egzemplarzy autorskich.

Sąd Konkursowy stanowić będą członkowie Komitetu Redakcyjnego z wyboru. Sądowi przysługuje prawo — w razie nie osiągnięcia należytego poziomu prac — nie przyznania nagrody pierwszej.

TERMIN NADSYŁANIA PRAC UPŁYWA Z DNIEM 31 SIERPNIA 1950 R.

Spis rzeczy w numerze

Nasza okładka — „Cietrzew" — rys. A. Włodarz

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 4 (977) 1950 KWIECIEŃ



Wiosna w lesie... rys. W. Korsak.

INŻ. STANISŁAW IHNATOWICZ

Co to znaczy wiedza wypływająca z ideologii burżuazyjnej

W styczniowym numerze z br. Łowca Polskiego w artykule uzgodnionym z Prezydium Polskiego Związku Łowieckiego, pod tytułem: „Cel i zadania Polskiego Związku Łowieckiego" — jest powiedziane, że „Te stare kadry w znacznym stopniu utrzymują się jeszcze we władzach jednostek organizacyjnych Związku na wszystkich szczeblach", dalej się mówi: „Te kadry, pokrywając się frazeologią demokratycznych słów, zażarcie bronią zajętych pozycji, wypaczając istotną demokratyzację Związku, insynuując, że wraz z ich odejściem obniży się poziom łowiectwa w kraju, bo poza nimi nie ma znawców fachowych łowiectwa, nie ma fachowych myśliwych. Są one, te stare kadry, zawsze gotowe i chętne do nauczania, kształcenia i wychowywania szeregów powojennych członków Polskiego Związku Łowieckiego w sztuce wiedzy łowieckiej i etyki myśliwskiej. **Zapominają tylko o jednym, że ich wiedza i etyka wypływa z ideologii burżuazyjnej i jako takie nie mogą i nie będą przyjęte przez nasz demokratyczny Polski Związek Łowiecki".**

Ludzie dnia wczorajszego, epigoni (niedobit-

ki) zamierzchłej przeszłości, specjalnie atakują twierdzenie, podane tłustym drukiem. Z perfidną naiwnością wciąż stawiają pytanie, na czym polega różnica wiedzy i etyki łowieckiej, wypływającej z ideologii burżuazyjnej, od wiedzy i etyki socjalistycznej. Udają, że nie rozumieją o co rzecz chodzi i wprost propagują, że nie ma i nie może być różnicy pomiędzy burżuazyjną wiedzą i etyką łowiecką, a socjalistyczną wiedzą i etyką łowiecką. Ta postawa i to twierdzenie tych ludzi dnia wczorajszego oczywiście wnosi dezorientację i bałamuctwo w ideologię myśliwego, demokratycznego szeregowego członka, stojącego bez zastrzeżeń na gruncie naszej rzeczywistości budowania nowego życia wg ideologii i zasad socjalistycznych. To bałamuctwo ideologiczne, wsączane przez niedobitki ideologów zamierzchłej przeszłości wszystkimi szczelinami jeszcze niedostatecznie ideowo zmontowanego aparatu naszego Związku w jego masy członkowskie — wymaga należytego oświetlenia i krytycznego przezwyciężenia.

Co to znaczy wiedza, wypływająca z ideologii burżuazyjnej? Burżuazja zdobywszy jako klasa społeczna władzę polityczną, troszczyła się i troszczy, aby tę władzę utrzymać i przedstawia ustrój kapitalistyczny jako wieczny, nie dający się zmienić, jako coś naturalnego, przyrodzonego, właściwego człowiekowi, danego mu przez kogoś, który rządzi całym światem w myśl niezmiennych praw jakiejś boskiej nieznanej istoty.

Posiadając całą władzę polityczną i całą potęgę ekonomiczną, burżuazja uznawała i uznaje tylko to za wiedzę, za naukową zdobycz, co służy do utrwalenia jej panowania i co nie grozi podstawom jej panowania. Przykład najlepiej to wyjaśni. Teoria biologiczna Miczurina — Łysienki, oparta na materiaĺiźmie dialektycznym, obaliła dotychczas panującą w nauce biologii idealistyczną teorię o niezmienności gatunku. Lecz teoria Miczurina — Łysienki nie została uznana przez burżuazyjnych uczonych, jest przez nich zwalczana, jako rzekomo nienaukowa, nic z nauką nie mająca wspólnego. Oczywiście jest to kłamstwo, świadome kłamstwo. Właśnie teoria Miczurina — Łysienki jest naukową, stwierdzoną i potwierdzoną doświadczeniami i praktycznymi wynikami. Dlaczego mimo to burżuazyjna nauka nie chce jej uznać i zwalcza ją zaciekle? Oto dlatego, że uznanie teorii Miczurina — Łysienki za naukową, za naukowe pogłębienie i rozszerzenie biologii — podważa podstawy ideologiczne ustroju kapitalistycznego, o którym tzw. „naukowcy“ burżuazyjni twierdzą, że jest wieczny, niezmienny, przyrodzony rodzajowi ludzkiemu. Przecież jasne, że jeżeli uzna się teorię Miczuryna — Łysienki za naukową, za słuszną teorię, to tym samym uzna się, że dotychczasowa teoria biologiczna o niezmienności gatunku w przyrodzie, rozwijana przez Weismana i Mendela, jest nienaukowa, nie słuszna, błędna, a tym samym uzna się, że człowiek może zmieniać prawa przyrody, przekształcać przyrodę wg swych potrzeb i wymagań, to znaczy zmieniać te prawa, które rzekomo są stworzone przez jakiegoś boga, jako niezmienne, nienaruszalne, którym człowiek musi się bezwarunkowo podporządkować i biernie, z pokorą im poddawać. A przecież ideolodzy ustroju kapitalistycznego, ideolodzy burżuazyjni twierdzą, że ustrój kapitalistyczny, że panowanie burżuazji i obszarnictwa — to jest ustrój wieczny, niezmienny, dany przez boga, że panowanie klasowe burżuazji i obszarnictwa — jest wieczne, niezmienne, właściwe naturze, przyrodzie człowieka.

Jeżeli zaś uzna się za naukowe możność zmieniania przez człowieka praw przyrody, która powstała, rozwijała się i kształtowała swe prawa bez udziału ludzkiej woli, to stąd już tylko jeden krok do uznania, że ustrój społeczny, który jest wynikiem bezpośredniej działalności człowieka tym bardziej podlega jego woli i w myśl potrzeb i wymagań ludzkości może być zmieniany i kształtowany. Ale tym bardziej takie twierdzenie, nadto uznane za naukowe — z gruntu podważa najistotniejsze ideologiczne podstawy klasowego panowania burżuazji i obszarnictwa, obala fundament istnienia ustroju kapitalistycznego, jego rzekomą nienaruszalność, nietykalność.

Przytoczony przykład w sposób jasny i bezpośredni tłumaczy i wykazuje, co to znaczy wiedza, wypływająca z ideologii burżuazyjnej. Możemy teraz stwierdzić, że takiej wiedzy łowieckiej, wypływającej z ideoolgii burżuazyjnej, przesiąkniętej tą ideologią, a wiec mającej na celu w mniej lub bardziej ukrytej zamaskowanej formie, obronę pozycji burżuazyjnych w łowiectwie — demokratyczny Polski Związek Łowiecki nie może przyjąć i nie przyjmie. Przy czym tutaj nie chodzi o ten fakt, że dzik ma cztery biegi (nogi) i należy do parzystokopytnych, nieprzeżuwających gruboskórnych zwierząt, a głuszec posiada dwie nogi, skrzydła i należy do ptaków grzebiących z rodziny kurowatych, lecz o to, że pod przykryciem fachowej wiedzy łowieckiej — przesiąkniętej ideologią burżuazyjną, ludzie z zamierzchłej przeszłości, obcy klasowo i pochodzeniem i swoją postawą ideologiczną w stosunku do naszej rzeczywistości, starają się w naszym łowiectwie stworzyć pozycje i przywileje zamierzchłych i bezpowrotnie minionych czasów feodalnych. A na to olbrzymia większość członków naszego Związku, robotników, chłopów żyjących z własnej pracy, inteligencji pracującej, stojącej na stanowisku klasowym marksizmu - leninizmu — nigdy się nie zgodzi i nie pozwoli.

I na tym właśnie polega sens i treść twierdzenia demokratycznego Polskiego Związku Łowieckiego, że wiedzy łowieckiej, wypływającej z ideologii burżuazyjnej — nasz Związek nie może przyjąć i nie przyjmie.

Sprawa etyki, wypływającej z ideologii burżuazyjnej, będzie omówiona w oddzielnym artykule.

INŻ. EDWARD FRANKIEWICZ

O postępowe metody w hodowli zwierzyny



JEDNYM z poprzednich swoich artykułów nadmieniłem, że stoimy przed zadaniem przebudowy naszego łowiectwa w oparciu o nowe prawo łowieckie, którego uchwalenia przez władze ustawodawcze spodziewamy się z dnia na dzień.

Sprawę nowej organizacji łowiectwa, w ujęciu ostatecznego projektu ustawy o prawie łowieckim, omówił już na łamach Łowca Polskiego inż. Julian Bohusz, podkreślając szereg przewidzianych w tym prawie najistotniejszych zmian, dotyczących organizacyjnej strony gospodarki łowieckiej, a wynikających z głębokich przemian, które zaszły i wciąż jeszcze zachodzą w całokształcie naszego życia narodowego.

Szczególnie dużo uwagi poświęcił kol. Bohusz sprawie włączenia łowiectwa do ogólnych planów przebudowy gospodarczej kraju i sporządzania planu hodowlano - łowieckiego. Ustawa bowiem *zobowiązuje* właścicieli gruntów, uznanych przez odnośne władze za obwody łowieckie lub dzierżawców tych obwodów, do prowadzenia *hodowli i ochrony zwierzyny*, opartych na opiniowanych przez PZŁ i zatwierdzonych przez władze państwowe planach hodowlano-łowieckich.

Pomyślana w ten sposób organizacja gospodarki łowieckiej nie tylko zapobiega dzikiemu, rabunkowemu użytkowaniu zwierzostanów, lecz również wyklucza dowolność w stosowaniu metod hodowlanych.

Pragnę wykazać szerokim rzeszom kolegów myśliwych błędy dotychczasowych sposobów hodowli zwierzyny łownej, sposobów wzorowanych na metodach niemieckich z ubiegłego i pierwszych dziesiątków lat obecnego stulecia. Pomimo, że Niemcy w ostatnim dziesięcioleciu przed drugą wojną światową zmienili swój stosunek do przyrody, zaprzestając sztucznego podziału zwierząt i roślin na „szkodliwe" i „pożyteczne", i w gospodarce zarówno łowieckiej jak i leśnej zaczęli opierać się na zdobyczach nowoczesnej nauki, wielu z naszych myśliwych hołduje jeszcze, niestety, przestarzałym poglądom, zaniechanym już przez samych ich twórców.

Chcąc zwalczyć te szkodliwe nie tylko dla łowiectwa, lecz również dla całości naszej kultury i naszego gospodarstwa poglądy, uważam za konieczne wyjaśnić przyczyny powstania tych metod gospodarczych, których zgubne skutki boleśnie dają się nam we znaki od kilku dziesiątków lat.

Uznanie wartości gospodarczych i kulturalnych łowiectwa nie jest właściwością wyłącznie ustroju socjalistycznego. Już przed stu laty Niemcy zwrócili uwagę na niewykorzystane możliwości łowiectwa, jako źródła produkcji mięsa, i wprowadzili u siebie prawidłową, w ich ówczesnym pojęciu, gospodarkę łowiecką, polegającą na nadmiernym rozmnażaniu gatunków zwierzyny, dostarczających dziczyznę, przy równoczesnym bezwzględnym tępieniu wszelkich drapieżników oraz innych zwierząt, uznanych za szkodliwe dla gospodarki rolnej, leśnej i rybackiej. Tej tak zwanej „użytecznej" zwierzynie zadawano przez większą część roku sztuczną karmę, gdyż zmienione także przez „prawidłową" gospodarkę lasy nie mogły dostarczyć paszy licznym stadom jeleni, danieli i sarn; zające zaś, kuropatwy i bażanty, a szczególnie te ostatnie, niemal odzwyczaiły się już zdobywać pokarm własnym przemysłem. Inną zwierzyną, pozornie obojętną dla gospodarki ludzkiej, jak głuszce, cietrzewie, jarząbki oraz niektóre gatunki ptactwa wodnego i błotnego, mało się interesowano, uważając, że skoro nie godzi się ona z „kulturą" człowieka i nie daje się hodować sztucznie, zostaje tym samym skazana na stopniowe wymarcie.

Muszę zaznaczyć, że w tak pomyślanej gospodarce była pewna planowość, tj. świadomość celu, do którego się zdąża i środków, którymi się zamierza ten cel osiągnąć. Niemcom bowiem chodziło o stworzenie znacznych zapasów żywności: mięsa, ryb i płodów rolnych, oraz drewna, nie tylko dla wyżywienia ludności i potrzeb przemysłu w czasie pokoju, ale także na okres wojny, do której czynili przygotowania. Dlatego też wszelkie zwierzęta, które mogłyby uszczuplić te zapasy żywności, uznano za wrogów i postanowiono je wytępić; drzewom i krzewom, nie nadającym się do sztucznej uprawy, a mającym wówczas mniejsze zastosowanie w przemyśle niemieckim, nadano miano „chwastów leśnych" i wypowiedziano im walkę włącznie do całkowitego wyplenienia.

Pierwszym błędem, który spowodował szkody zarówno w gospodarce łowieckiej, jak i innych działach gospodarstwa wiejskiego, było niewłaściwie ujęte w ustroju kapitalistycznym planowanie, nie obejmujące całokształtu życia narodowego, lecz tylko poszczególne jego odcinki. Następstwem takiego planowania było nieuzgodnienie interesów łowiectwa z interesami rolnictwa i leśnictwa, a skutek tego był taki, że „użyteczna" zwierzyna stała się dla rolnika i leśnika *szkodnikiem*.

Drugim błędem było stosowanie metod hodowlanych, opartych nie na zdobyczach i doświadczeniach nauk przyrodniczych, ale na spekulacjach myślowych ekonomistów kapitalistycznych, stojących na usługach militaryzmu germańskiego i junkierstwa. Junkrzy pruscy, wierząc ślepo w potęgę swego „drillu", uznali za możliwe opanowanie przyrody przemocą i zmuszenie jej gwałtem do służenia swoim interesom. Nie zadawano sobie trudu poznania praw, rządzących naturą; nie rozumiano, że jedyną drogą do opanowania, ulepszania i przekształcania przyrody w celu wykorzystania jej sił i zasobów na pożytek człowieka, są długotrwałe i żmudne nieraz badania oraz podpatrywanie i wykrywanie tajemnic natury przez dokładne poznanie odwiecznych jej praw. Zlekceważenie tych praw doprowadziło w krótkim stosunkowo czasie: w łowiectwie — do zwyrodnienia sztucznie hodowanej zwierzyny, dziesiątkowanej w

pewnych okresach przez choroby epidemiczne; w leśnictwie — do klęski szkodliwych owadów oraz szkód wyrządzanych przez zwierzynę płową i pożary; w rolnictwie — do szkód czynionych zarówno przez zwierzynę jak i przez szkodliwe dla płodów rolnych owady oraz choroby roślin uprawnych; w całości ta nieopatrzna gospodarka ludzka poczyniła straszne spustoszenia, wystawiając tym jak najgorsze świadectwo kulturze okresu kapitalistycznego.

W ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia, za przykładem Niemców zaczęto w innych krajach Europy Środkowej wprowadzać sztuczną hodowlę zwierzyny, nadając temu miano „prawidłowej gospodarki łowieckiej". Hodowlę taką zaprowadzono również u nas, w województwach zachodnich i na Śląsku, będących w tym czasie pod zaborem niemieckim, oraz w poszczególnych majątkach obszarniczych na terenie naszych województw środkowych i południowo-wschodnich.

Gospodarka łowiecka w majątkach naszych obszarników, pochłaniając olbrzymie nakłady środków pieniężnych, nie będące w żadnym rozsądnym stosunku do osiągniętych korzyści materialnych i niematerialnych, nie zawsze mogła zaimponować nawet doraźnymi wynikami hodowlanymi, chociażby tylko ilościowymi; natomiast wykazy wymordowanych rocznie „szkodników" nasuwają człowiekowi, posiadającemu bodajże tylko przeciętną etykę i jakie takie wiadomości z zoologii, bardzo niewesołe myśli.

Jako jeden z jaskrawych przykładów omawianej gospodarki przytoczę dane liczbowe, zaczerpnięte ze sprawozdania o gospodarstwie w dobrach staszowskich (województwo kieleckie), zamieszczonego w nrze 2 Łowca Polskiego z roku 1900.

Na obszarze wynoszącym 28.000 ha, w tym 11.700 ha lasu i 16.300 ha pól, łąk i nieużytków, częściowo dzierżawionych od chłopów, po 26 latach gospodarki łowieckiej (od 1874 do 1900 roku) osiągnięto następujący stan zwierzyny: sarn 1000 sztuk, dzików — 40 sztuk, zajęcy — 2000 sztuk i kuropatew — 2400 sztuk. O liczebności innej zwierzyny można sądzić tylko z przeciętnej ilości rocznego odstrzału, który wynosił: rogaczy — 50, dzików — 16, zajęcy — 660, bażantów — 10, cietrzewi — 5, jarząbków — 3, kuropatew — 100, słonek — 2, przepiórek — 15, kszyków — 2, kaczek — 12. Z danych tych wynika, że przypadało na każde: 1000 ha lasu — 85 sarn i 4 dziki, 1000 ha lasu i pola — 70 zajęcy i 1000 ha pola — 150 kuropatew. Jak widzimy, stan zajęcy i kuropatew — słaby, dzików — średni, jedynie tylko zwierzostan sarni, pod względem ilościowym oczywiście, bardzo dobry; a jak można wnioskować z dużej ilości zadawanej karmy, stan ten był nadmierny w stosunku do naturalnych możliwości hodowlanych łowiska.

Zobaczmy z kolei jak wyglądało tępienie „szkodników", których odstrzeliwano przeciętnie w jednym roku: lisów — 90, kun — 5, wydr — 1, tchórzy — 58, łasek — 33, borsuków — 4, wiewiórek — 940, pilch — 1, orłów — 1, jastrzębi — 290, sokołów — 14, kruków — 10, wron (?) — 5400, sów — 86, sojek — 296, dzierzb — 12, oraz istotnych szkodników: psów — 419 i kotów — 186. Szczególnie uderzająca jest liczba zabitych prawdopodobnie gawronów i kawek, które określano mianem wron, i wiewiórek, oraz pokaźna ilość lisów, zapewne nie tylko zastrzelonych, lecz także wykopanych z nor. Jednocześnie w sprawozdaniu tym podano, że *z powodu chorób* padało w ostatnim dziesięcioleciu rocznie od *118 do 159 sarn* i od *117 do 318 zajęcy*.

Pragnę zwrócić uwagę na wysokość przeciętnych rocznych kosztów, ponoszonych przez dobra staszowskie na cele gospodarki łowieckiej. Na samą karmę wydawano 1156 rubli; administracji wypłacano: tytułem strzałowego od ubitych drapieżników i szkodników — 549 rubli oraz premię od upolowanej zwierzyny użytecznej — 441 rubli i od odebranej kłusownikom broni — 140 rubli. Jeżeli dodamy do tego 643 ruble, wypłacane za dzierżawę terenów chłopskich i pensję ośmiu strzelców, wynoszącą 1920 rubli, to otrzymamy łącznie okrągło 4900 rubli. Po przeliczeniu na złote przy zastosowaniu mnożnika 650, wypośrodkowanego na podstawie ceny zająca, dzisiejszej 550 zł i z 1900 roku 85 kopiejek, daje to nam sumę 3.185.000 zł. Przy uwzględnieniu przypuszczalnego dochodu za ubitą zwierzynę, według cen rynkowych z 1900 roku, w kwocie 691.000 zł niedobór wynosił rocznie *2.494.000 zł*. Te liczby są tak wymowne, że chyba zbyteczne są jakiekolwiek dodatkowe wyjaśnienia.

Nie twierdzę bynajmniej, że podany przeze mnie przykład jest typowym przykładem ówczesnej gospodarki łowieckiej, gdyż na terenie województw zachodnich często osiągano w hodowli zwierzyny, zarówno płowej jak i drobnej, zadziwiające wyniki *ilościowe*, kosztem oczywiście jakości, przy wydatkach ekonomicznie uzasadnionych; również tępienie drapieżników dzikich i innych zwierząt, rzekomo szkodliwych dla gospodarstwa ludzkiego, nie wszędzie było przeprowadzane z całą bezwzględnością. Twierdzę jedynie, że te metody hodowlane tylko na krótką metę mogły dać wyniki pożądane, na przestrzeni zaś już ćwierćwieku doprowadziły do zwyrodnienia zwierzostanów, a po półwiekowej takiej gospodarce spowodowały szereg klęsk nie tylko w łowiectwie, ale i w innych gałęziach gospodarstwa.

Niektórzy przyrodnicy z pierwszych dziesiątków lat XIX wieku już wtedy przestrzegali przed zbyt lekkomyślnym tępieniem pewnych gatunków zwierząt, lecz te odosobnione głosy pozostały bez echa. Na przełomie wieków ubiegłego i obecnego świat naukowy zaczął występować przeciwko bezmyślnym zniszczeniom, szerzonym w przyrodzie z jednej strony przez zachłanność przemysłu kapitalistycznego i nieuctwo klas rządzących, z drugiej — przez ciemnotę ludu. Coraz częściej odzywały się głosy powag naukowych, poparte wynikami szczegółowych badań, stające w obronie świata zwierząt, szczególnie ptaków. Na łamach Łowca Polskiego sprzed 50 lat można już znaleźć, nieliczne wprawdzie, artykuły redakcyjne, występujące w obronie ptaków drapieżnych, powołujące się na prace badawcze przyrodników niemieckich, jak np. Röriga lub też artykuły naszych ornitologów, np. Jana Sztolcmana, ówczesnego redaktora Łowca Polskiego.

Niestety, równolegle z takimi artykułami łamy tego czasopisma roiły się jeszcze od artykułów i wzmia-

nek różnych „prawidłowych" myśliwych, którzy na wyścigi dostarczali dowodów szkodliwości wszystkich drapieżników czworonożnych i skrzydlatych oraz nawet nawoływali do tępienia ich wszelkimi sposobami. Nawet kawki, nawet kaczory — krzyżówki zostały zdemaskowane, jako groźni wrogowie „biednych" zajączków i bażantów! Po wznowieniu wydawnictwa Łowca Polskiego w kilka lat po zakończeniu przedostatniej wojny redaktor Julian Ejsmond rzuca hasło skreślenia ze słownika łowieckiego słowa „tępić". Na łamach naszego czasopisma ukazuje się szereg artykułów w obronie do niedawna znienawidzonych przez świat myśliwski drapieżców. Nawet wilk znajduje obrońców w osobie Bolesława Świętorzeckiego i Wacława Podhorskiego. Prawo zaś łowieckie z roku 1927 wprowadza czasy ochronne dla szeregu gatunków zwierząt drapieżnych oraz zakazuje łowienia ich przy pomocy żelaz, trutek itp. środków.

W Łowcu Polskim, wydawanym obecnie, nie znajdziemy już nawoływań do trucia, kopania i łapania w żelaza lisów czy borsuków, a jedyny artykuł w sprawie walki z drapieżnikami został opatrzony odpowiednimi uwagami redakcji. Projekt nowej ustawy o prawie łowieckim pozostawia bez opieki zaledwie kilka gatunków: wilka, tchórza, kunę domową, królika, jastrzębia gołębiarza i krogulca, wronę siwą i srokę. Myśl postępowa musiała zwyciężyć — i zwycięża.

Zwycięstwem tej myśli jest wymieniony projekt prawa łowieckiego oraz obowiązująca już ustawa o ochronie przyrody z dnia 7 IV 1949 r.

Artykuły nowego prawa łowieckiego brzmią: „Art 1: Łowiectwo w rozumieniu niniejszej ustawy oznacza *racjonalne gospodarowanie zwierzyną, zgodnie z potrzebami gospodarstwa narodowego i ochrony przyrody.* Gospodarowanie zwierzyną obejmuje hodowlę, ochronę zwierzyny..... Gospodarowanie zwierzyną może się odbywać tylko na podstawie *zatwierdzonego planu hodowlanego*".

„Art. 26 2) Celem planu hodowlanego jest osiągnięcie najlepszego stanu ilościowego i jakościowego zwierzyny przy uwzględnieniu miejscowych warunków danego obwodu łowieckiego."

Art. 27. Rozporządzenie Ministra Leśnictwa określi sposób i zasady opracowania planu hodowlanego..."

Ustawa zaś o chronie przyrody mówi: „Art. 1. Ochrona przyrody w rozumieniu niniejszej ustawy oznacza *zachowanie, restytuowanie i właściwe użytkowanie:*

1) zasobów przyrody,

2) tworów przyrody żywej i nieożywionej..... oraz gatunków roślin i zwierząt, których ochrona leży w interesie publicznym ze względów naukowych, estetycznych, historyczno - pamiątkowych, zdrowotnych i społecznych oraz ze względu na swoiste cechy krajobrazu".

„Art. 9. p. 1. Zadaniem władz ochrony przyrody jest czuwanie, aby gospodarowanie zasobami przyrody odbywało się zgodnie z zasadami, *zmierzającymi do zabezpieczenia i wzmożenia naturalnych sił wytwórczych przyrody.*"

„p. 2. Władze państwowe obowiązane są zasięgać opinii Państwowej Rady Ochrony Przyrody w sprawach zamierzeń, mogących *wpłynąć w sposób istotny na równowagę sił przyrody....*".

Władzę wykonawczą, zarówno w sprawach łowieckich jok i ochrony przyrody, skupia obecnie w swym ręku Minister Leśnictwa. Nie jest to przypadek, że właśnie resortowi leśnictwa powierzono opiekę nad całokształtem spraw, związanych z ochroną i gospodarką naszymi zwierzostanami i szatą roślinną kraju. Przypomnę, że weszła w życie nowa ustawa o gospodarstwie leśnym i na skutek tego leśnik polski przystąpił już do wykonania trudnego wprawdzie, lecz szczytnego zadania, naprawienia błędów gospodarki kapitalistycznej i przywrócenia naszym kniejom ich właściwej struktury i wyglądu, nie tylko pod względem składu roślinnego, lecz również zwierzęcego.

Jak wynika z tych nawzajem uzupełniających się ustaw, łowiectwo zostaje włączone do ogólnego nurtu życia gospodarczego, kulturalnego i społecznego; celem gospodarki łowieckiej jest odrodzenie naszych rodzimych zwierzostanów ku ogólnemu pożytkowi społeczeństwa. W pracy tej my, myśliwi, znajdziemy ustawowo zapewnioną pomoc przede wszystkim u leśników i „ochroniarzy"; musimy jednak zrozumieć, że łowiectwo winno się stać najskuteczniejszym czynnikiem nowocześnie pojętej ochrony przyrody oraz, że interesy łowiectwa nie mogą być w sprzeczności z interesami leśnictwa, rolnictwa i innych gałęzi gospodarstwa wiejskiego. Ze swej strony mamy prawo oczekiwać od leśników, a szczególnie od rolników i rybaków, zrozumienia znaczenia łowiectwa dla kraju oraz uznania korzyści, jakie dają pośrednio lub bezpośrednio poszczególne gatunki zwierząt łownych dla nowocześnie prowadzonej gospodarki leśnej, rolnej itp.

Współpraca ta i wzajemne ustępstwa w imię dobra całości gospodarstwa narodowego są, jak widzieliśmy, uwzględnione w pierwszych artykułach przytoczonych wyżej ustaw. Tym samym ustawy te dają nam ramowe wytyczne co do metod hodowlanych, nakładając na nas obowiązek zerwania z „lamusowymi" poglądami na przyrodę i oparcia się w gospodarce łowieckiej na zdobyczach postępowej wiedzy.

Nie zamierzam tu omawiać szczegółów hodowli tych lub innych gatunków zwierzyny, gdyż będzie to tematem następnych artykułów. Pragnę tylko po zobrazowaniu dotychczasowej gospodarki człowieka na odcinku łowieckim i wykazaniu jej skutków oraz podawszy w dużym skrócie poszczególne etapy walki postępowej myśli z zacofaniem i nieuctwem, naszkicować w ogólnych zarysach wskazówki dla myśliwego hodowcy.

Przede wszystkim musimy sobie dokładnie uświadomić różnicę, zachodzącą pomiędzy zwierzyną a zwierzętami domowymi. Zwierzęta domowe stały się już wytworem wielowiekowej gospodarki ludzkiej, natomiast zwierzyna dzika jest częścią składową przyrody. Z tych też względów hodowla zwierzyny w łowisku otwartym nie może być oparta na metodach stosowanych w hodowli bydła lub drobiu, lecz winna polegać na stworzeniu zwierzynie w ło-

wisku warunków bytowania jak najbardziej zbliżonych do warunków naturalnych oraz na zapewnieniu jej poza tym spokoju, szczególnie w okresie rozmnoży, i opieki przed szkodnikiem ludzkim.

Za przykładem więc leśnika, który, rzuciwszy hasło „unaturalnienia" naszych lasów, rozpoczął ich przebudowę pod względem składu gatunkowego oraz zaniechał dotychczasowej metody ich użytkowania i odnawiania, myśliwy hodowca winien dążyć do unaturalnienia naszych zwierzostanów. Samo pojęcie „unaturalnienia" przesądza już sprawę wyboru gatunków zwierząt na rzecz zwierzostanów rodzimych. Jestem stanowczym przeciwnikiem wprowadzania obcych dla naszego krajobrazu zwierząt; nie widzę potrzeby utrzymania na dalszą przyszłość gatunków, które wprawdzie zostały u nas wprowadzone już od dawna, lecz albo stały się zdecydowanymi szkodnikami, jak np. królik, albo są właściwie zwierzyną parkową, wymagającą troskliwej opieki człowieka, jak daniel i bażant, a szczególnie ten ostatni, którego hodowla na dziko nie daje u nas dobrych wyników, sztuczna natomiast jest zbyt kłopotliwa i bardzo kosztowna. Jeleń wapiti i sika oraz muflon, odziedziczone przez nas po Niemcach na Ziemiach Zachodnich, również, moim zdaniem, winny być usunięte z łowisk otwartych.

Następnym zagadnieniem jest ustalenie wzajemnego stosunku ilościowego, z jednej strony zwierzyny drapieżnej do roślinożernej, z drugiej — zwierzyny grubej, płowej i czarnej, oraz rzadszych gatunków ptactwa, jak drop, głuszec, cietrzew, jarząbek, do pospolitej zwierzyny drobnej (zając, kuropatwa).

Należy przyjąć zasadę, że selekcje wśród zwierzostanów winny dokonywać drapieżniki, nie zaś broń myśliwego. Sztucer i strzelba będą z konieczności głównym czynnikiem przy usuwaniu sztuk, niezdatnych do hodowli, tylko w okresie przejściowym, w przyszłości zaś zejdą do roli właściwej, stając się pomocniczym środkiem selekcyjnym w wyjątkowych przypadkach. Oczywiście ilość drapieżników musi być regulowana przez myśliwego, zależnie od ilości i stanu zdrowotnego zwierzyny roślinożernej. Zwierzyna drobna może być hodowana obecnie w ilościach dużych bez obawy wyrządzania przez nią poważnych szkód w gospodarce rolnej czy leśnej; tym samym drobne drapieżniki, zarówno czworonożne jak i skrzydlate, można utrzymać w łowiskach w stosunkowo dużej ilości. Natomiast hodowla zwierzyny płowej (jeleń i sarna) w okresie przebudowy struktury lasów musi być, ze względu na możliwość wyrządzania szkód w podrostach i podszyciach liściastych, ograniczona pod względem ilościowym, przy czym należy dążyć do rozprowadzenia zmasowanego obecnie w kilku województwach zwierzostanu po całym kraju, zasiedlając przede wszystkim łowiska o drzewostanie mieszanym. W miarę unaturalniania lasów ilość zwierzyny płowej i czarnej można będzie stopniowo zwiększać — zależnie od możliwości pokarmowych łowiska. Do łowisk, posiadających zwierzynę grubą, winny być wprowadzone większe drapieżniki, jak niedźwiedź, ryś, żbik, orzeł, a nawet wilk, w takich ilościach, aby miały zapewniony żer naturalny i nie były zmuszone czynić szkody w żywym inwentarzu domowym.

Poza tym myśliwi nasi winni wykazać więcej zainteresowania mniej pospolitymi gatunkami ptactwa łownego, jak drop, głuszec, cietrzew, jarząbek, oraz ptactwa przelotnego, a szczególnie przepiórce.



Przedwiośnie... fot. Z. Drzewicki

Stosunki łowieckie w Bułgarii

Bułgaria, bliski Polakowi kraj słowiański, państwo Demokracji Ludowej, zaciekawia nas żywo egzotyką kraju bałkańskiego, odrębnością warunków fizjograficznych i klimatu, przy dużym jednocześnie podobieństwie naszych i tamtejszych zwierzostanów.

Na tle tej właśnie odrębności warunków lokalnych kształtują się odmienne stosunki gospodarki łowieckiej, o których chcemy parę słów powiedzieć. Temat sam w sobie jest bardzo obszerny i zróżniczkowany. Z konieczności należy ograniczyć się do kwestii najogólniejszych, pozostawiając pewne dziedziny, jak: organizację łowiectwa, jego historię rozwojową, ustawodawstwo, rolę gospodarczą — do innej sposobności.

Historia rozwoju łowiectwa w Bułgarii jest nadspodziewanie bogata i sięga czasów odległych, kształtując się pod wpływem stosunków politycznych i społecznych, panujących w tym kraju.

Do połowy ubiegłego stulecia, w okresie niewoli tureckiej, łowiectwo w Bułgarii było wyłącznym przywilejem paszów i bejów tureckich, niedostępnym dla ludności tubylczej.

Oswobodzenie po drugiej wojnie światowej kraju, przynosi za sobą radykalną zmianę stosunków. Początkowo łowiectwo pozostaje atrybutem warstwy ziemiańskiej i wyższych sfer urzędniczych, potem demokratyzuje się w szybkim tempie.

Organizacja łowiectwa w Bułgarii ma za sobą bodaj odleglejszą i bogatszą historię, niż u nas. Trudno także przy tym temacie zatrzymywać się dłużej. Należy jednakże wspomnieć, że pierwsze towarzystwa łowieckie Bułgarii datują się z 1884 r., pierwszy związek towarzystw łowieckich powstał w roku 1893 w Sofii i w tymże roku zaczęło wychodzić pismo łowieckie „Łowec“ (Myśliwy).

Dziś Narodowy Związek Łowiecko - Rybacki w Bułgarii jednoczy w swoich szeregach około 90.000 przymusowo zrzeszonych członków, jako organizacja o charakterze na wskroś masowym. Skład socjalny Związku jest bardzo różnorodny, jednakże skupia on w sobie bez wyjątku ludzi pracy.

Łowiectwo jest w Bułgarii otoczone opieką władz państwowych i ma pewne warunki rozwojowe, aczkolwiek oparte na nieco innych przesłankach niż w Polsce, co może znajduje uzasadnienie w odmiennych również stosunkach społecznych i gospodarczych.

Stosunek państwa do łowiectwa określa i reguluje ustawodawstwo łowieckie. Władzę państwową w dziedzinie łowiectwa sprawuje minister leśnictwa. Najnowsza ustawa łowiecka w Bułgarii pochodzi z 1 X 1948 r., jednakże należy zwrócić uwagę, że pierwsza ustawa została ogłoszona w Bułgarii już w roku 1880, a więc wkrótce po oswobodzeniu z niewoli tureckiej.

Założenia podstawowe ustawodawstwa łowieckiego w Bułgarii są wysoce interesujące, chociażby z uwagi na fakt, że znajdujemy się w tej chwili w przededniu nowelizacji naszej ustawy. Jednakże temat ten, jako sam w sobie zbyt obszerny, wymagałby również osobnego opracowania.

Gospodarstwo łowieckie w naszym tego słowa znaczeniu, tj. jako gospodarka hodowlana i odstrzałowa poszczególnych kółek łowieckich, osób czy państwa na określonych, pozostających w ich użytkowaniu terenach, w Bułgarii nie istnieje. Nie jest również znany podział terenu na obwody łowieckie, pojęcie własności polowania i wydzierżawienia łowiska.

Sprawa jest tam rozwiązana inaczej — na wzór krajów, w których wchodzi w grę raczej eksploatacja bogactw przyrody, a nie gospodarowanie nimi.

Myślą przewodnią bułgarskiej ustawy łowieckiej nie jest więc związanie myśliwego, jako użytkownika polowania i zwierzostanów z zadaniami hodowli zwierzyny i zagospodarowania łowiska, ale wprowadzenie takich ograniczeń i form wykonywania polowania, które gwarantowałyby utrzymywanie użytkowania zwierzostanów, czyli możliwości odstrzału w granicach nie zagrażających liczebności zwierzyny, a zwłaszcza tzw. przez ustawodawstwo bułgarskie „zwierzyny użytecznej“.

Funkcje gospodarczo-łowieckie i hodowlane przyjmuje na siebie na obszarze całego kraju — państwo. W budżecie państwowym znajdują się pewne kwoty na cele hodowlano-łowieckie, jak dokarmianie zwierzyny, tępienie drapieżników, odświeżanie krwi itp. zabiegi, składające się na pojęcie gospodarki w łowisku.

Państwo prowadzi rozrzucone na terenie całego kraju fermy hodowlane różnych rodzajów tzw. „zwierzyny użytecznej“ oraz wzorowe gospodarstwa hodowlano-łowieckie, zazwyczaj związane terenowo z takimiż gospodarstwami rybackimi.

Zwierzyna wyhodowana przez fermy hodowlane w sposób sztuczny, jak i wyhodowana na wolności przez państwowe gospodarstwa hodowlano-łowieckie, służy dla zasilenia zwierzostanów w otwartych łowiskach.

Wykonywanie polowania w granicach gospodarstw hodowlano-łowieckich jest zakazane lub poważnie ograniczone przez odpowiednie przepisy.

Uprawnienie do polowania daje w Bułgarii karta łowiecka, wystawiana przez władze administracji leśnej. Kartę łowiecką może uzyskać każdy obywatel bułgarski, który ma ukończone 18 lat i jest członkiem Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego. Egzamin łowiecki nie jest przy tym wymagany od osób ubiegających się o kartę łowiecką lub kandydujących do Związku.

. Karta łowiecka uprawnia do polowania na terenie całego kraju, za wyjątkiem obszarów wyłączonych, jak: rezerwaty, parki narodowe, gospodarstwa hodowlano-łowieckie.

Ustawa łowiecka i przepisy wykonawcze określają cały szereg dozwolonych i zakazanych sposobów polowania. Oprócz ograniczeń analogicznych do naszych stosunków łowieckich, jak terminy ochronne, zakazy polowania między zachodem a wschodem słońca, istnieją ograniczenia zupełnie specyficzne i w naszych stosunkach nieznane. Tak np, całkowicie zakazane jest polowanie z naganką, zwłaszcza na tzw. „zwierzynę

użyteczną". Ilość myśliwych, mogących brać udział w polowaniu zbiorowym, jest określona rozporządzeniem wykonawczym do ustawy i wynosi dla polowań na zwierzynę drobną 5 strzelb a na grubą — 8 strzelb.

Istnieją również zakazy polowania w pewnych okresach roku na zasiewach ozimin i polach ryżowych, jak i zakaz polowania na uprawach leśnych do wieku lat pięciu.

Trucie pewnych gatunków tzw. „szkodników" spośród zwierzyny łownej, jest ustawowo dozwolone, z zachowaniem określonych przepisów bezpieczeństwa.

Najpopularniejszą formą polowania w Bułgarii jest polowanie z psami gończymi i legawymi. Gończe są pochodzenia azjatyckiego — czarne, podpalane, z białą plamą na piersi, węgierskie — długowłose z silnie kudłatym łbem tzw. „barak", wreszcie rodzima rasa bułgarska — czerwone, bardzo wytrzymałe i przystosowane do ciężkich warunków polowania górskiego.

Spośród psów legawych używane są zarówno wszystkie trzy rasy wyżłów angielskich, jak i wyżły kontynentalne.

Rozmiar odstrzału zwierzyny jest regulowany przez zarządzenia ministra leśnictwa, określające bądź liczebność dozwolonego odstrzału danego gatunku, łącznie na terenie całego kraju, bądź maksimum odstrzału na jednego myśliwego w ciągu jednodniowego polowania.

Tego rodzaju ograniczenia wydają się wysoce niedoskonałe dla warunków intensywnej, a nawet tylko racjonalnej hodowli zwierzyny, nie regulują bowiem granic odstrzału dla poszczególnych terenów łowieckich, różniących się nieraz bardzo stanem zwierzyny i warunkami hodowlanymi, jak również nie zabezpieczają przed nadmiernym wyeksploatowaniem terenów, z tych czy innych względów bardziej nawiedzanych przez myśliwych, nie zabezpieczają przed wielokrotnym opolowaniem takich terenów w ciągu sezonu ani nie wykluczają możliwości wprost wyniszczenia zwierzostanów w pewnych łowiskach, np. położonych w pobliżu wielkich skupisk ludzkich lub w dogodniejszych warunkach komunikacyjnych.

Do ciekawych wniosków doprowadzić nas może analiza ustawowych terminów ochronnych, obowiązujących w Bułgarii dla niektórych gatunków zwierzyny łownej i porównanie ich z naszymi.

Tak więc dozwolone ustawowo terminy polowania są np.: na jelenie 1 — 31 VIII, rogacze — 1 X — 30 XI, dziki 1 X — 31 I, kuropatwy 1 X — 30 XI, głuszce 1 IV — 15 V.

Szczególnie znamienne są tu terminy ochronne dla jelenia i dzika.

Polowanie na rykowisku nie jest uprawiane, jak to zresztą widać z układu terminów ochronnych, W tej chwili polowanie na jelenie łowne jest w Bułgarii w ogóle zamknięte z powodu nadmiernego wyniszczenia tej zwierzyny. Odstrzał selekcyjny, ograniczony jedynie do sztuk chorych, jest uzależniony od indywidualnych zezwoleń ministra leśnictwa.

Krótki stosunkowo kres dozwolonego odstrzału dzików jest również umotywowany małą liczebnością tej zwierzyny i koniecznością wzięcia jej w opiekę, chociażby tylko w drodze zakazu polowania.

Łowiska Bułgarii możnaby podzielić na dwie zdecydowanie różne kategorie. Pierwsza — będą to obszary pól uprawnych i szczupła ilość lasów równinnych, intensywniej zagospodarowanych, w których warunki i szanse hodowli zwierzyny tzw. „kulturalnej", są zbliżone do naszych, przy uwzględnieniu oczywiście różnic klimatycznych.

Druga kategoria łowisk — to tereny wysokogórskie, dość dzikie i niedostępne, w znacznej części zalesione i w słabszym stopniu ulegające wpływom gospodarki człowieka. Są to łowiska o charakterze prawie pierwotnym, gdzie racjonalna hodowla zwierzyny prawie nie wchodzi w rachubę.

Zwierzostany Bułgarii składem gatunkowym w dużym stopniu przypominają nasze, aczkolwiek po-



Osamotnione kaczory... fot. W. Puchalski

siadają dość rozpowszechnione gatunki zwierzyny u nas nieznanej lub nie posiadającej, jako obiekt łowiecki, praktycznego znaczenia.

Tak więc obok pospolitych, jak u nas, jelenia, daniela, sarny, dzika, wilka, lisa, zająca, głuszca, kuropatwy, różnego rodzaju ptactwa wodnego i błotnego, występuje dość licznie przepiórka, kuropatwa skalna, drop, szakal, żbik i niedźwiedź, jako przedmiot polowania.

Liczebność wszelkich gatunków zwierzyny pozostawia wiele do życzenia, tzw. możliwości hodowlane łowisk są stosunkowo większe i nie wyzyskane.

Problem szkód łowieckich od wszelkiego rodzaju zwierzyny nie jest w ogóle w Bułgarii znany i ustawa nie przewiduje z tego tytułu żadnych obowiązków odszkodowawczych. Zabiegi państwa zmierzają raczej w kierunku rozmnożenia pogłowia zwierzyny, zwłaszcza tzw. „użytecznej", zapobieżenia jej ubytkowi i ograniczenia rozmiaru użytkowania.

Ciekawa jest prawna kwalifikacja różnych rodzajów zwierzyny i zastosowane w ustawie jej zróżniczkowanie.

Bułgarska ustawa łowiecka pojęciem zwierzyny obejmuje wszelkie zwierzęta dzikie, żyjące na wolności, a więc także np. jeża, lelka, nietoperza, a nawet, co ciekawe, zdziczałego domowego kota.

Ustawa dzieli zwierzynę generalnie na „użyteczną" i „szkodliwą". Za zwierzynę szkodliwą prawo uznaje wszelkie zwierzęta szkodliwe dla zwierzyny z kategorii użytecznej oraz dla gospodarki rolnej i leśnej.

Grupa zwierzyny użytecznej dzielona jest na zwierzynę łowną i niełowną. Do tej ostatniej grupy należą wszelkie zwierzęta w naszym również pojęciu niełowne, a użyteczne dla gospodarstwa łowieckiego, rolnego i leśnego.

Do grupy zwierzyny szkodliwej należą wszystkie drapieżniki, a także dzik. Polowanie na tę kategorię zwierzyny jest na ogół znacznie mniej ograniczone, jak na zwierzynę użyteczną, aczkolwiek istnieją od tej zasady poważne wyjątki, jak np. dla dzika, o czym pisaliśmy już wyżej.

Ustawodawstwo bułgarskie wprowadza również oficjalny podział gatunków zwierzyny na grubą i drobną, zaliczając do kategorii pierwszej niedźwiedzia, jelenia, daniela, kozicę, sarnę, dzika i głuszca. Jak widzimy, głuszec ma tu preferencję przed dropiem, który zaliczany jest do zwierzyny drobnej.

Kary za przestępstwa i wykroczenia łowieckie są w Bułgarii stosowane wysokie. Np. ubicie jelenia, łani, sarny, polowanie w niedozwolonym czasie i niedozwolonymi sposobami, karane jest grzywną 50.000—100.000 lewów lub karą do roku więzienia, lub nawet obu karami łącznie. Ubicie zająca w czasie ochronnym kosztuje myśliwego karę do 50.000 lewów i do pół roku pozbawienia wolności.

Problem kłusownictwa w Bułgarii prawie nieistnieje. Przyznać jednakże wypadnie, że oprócz surowych kar za przestępstwa łowieckie musi przyczyniać się do tego swoisty system użytkowania łowisk przez udostępnienie każdemu myśliwemu polowania na obszarze całego kraju. W tych warunkach odpada cała duża kategoria wykroczeń — polowania na cudzym terenie i znacznie pogłębia się trudność wykrycia każdego przestępstwa, o co w warunkach indywidualnej gospodarki w obwodzie łowieckim dbają jego użytkownicy.

Na zakończenie wreszcie poświęcić należy słów parę piśmiennictwu łowieckiemu w Bułgarii, aczkolwiek piśmiennictwo to w wielu dziedzinach jest słabo rozwinięte.

Z czasopism łowieckich wychodzą w tej chwili w Bułgarii miesięczniki „Łów i Rybarstwo" — oficjalny organ Narodowego Związku Łowiecko-Rybackiego oraz „Łowec". Oba pisma egzystują już długi okres czasu, aczkolwiek w tym czasie zachodziły nawet wieloletnie przerwy w wydawnictwie. Tak np. pismo „Łowec", jak wspomnieliśmy na wstępie, zostało założone jeszcze w roku 1893.

Dzieł naukowych i fachowych z zakresu łowiectwa Bułgaria prawie nie posiada, jeśli chodzi o prace nowsze.

W dziedzinie beletrystyki tematy łowieckie, choćby tylko ubocznie, poruszali Iwan Wazow, Elin Pelin, Nikoła Filipow, Jordan Jowkow, a z nowszych pisarzy Emilian Stanew. Jako dominujący rodzaj utworu literackiego w dziedzinie nas interesującej występuje u tych pisarzy opowiadanie myśliwskie.



Na tokowisku. rys. J. Bu

Z polowań na Kurpiach

Polując przez szereg lat na rogacze z podjazdu w Puszczy Kurpiowskiej, zaprzyjaźniłem się z miejscowym gospodarzem Markiem Zydełkiem, który wraz ze swym „kasztanem“ był stałym moim towarzyszem w tych łowach.

Dziwny był człowiek ten Marek. Syn małorolnego chłopa na małourodzajnej ziemi, za młodu podobno trochę kłusował, lecz ożeniwszy się, pobudował własną chałupę i powoli odżegnał się od niedozwolonych wypraw ze strzelbą.

Widocznie zamiłowanie do łowiectwa i do zwierzyny nie wygasło w nim nadal, pomimo nawału zajęć gospodarskich: kochał zwierzynę, znał jej obyczaje, znał wszystkie jej tropy lepiej od miejscowych gajusów i pomimo, że dawno już sprzedał swoją powiązaną drutami „berdankę“, w chwilach wolnych od zajęć godzinami błądził po kniei, podpatrując swoją ulubioną zwierzynę — sarny.

Nie mogąc sam polować na rogacza, z niecierpliwością oczekiwał na przyjazd myśliwych, aby ze swym konikiem i wózkiem, który sam specjalnie skonstruował do podjazdów, służyć im za woźnicę i przewodnika.

Miejscowy nadleśniczy, przekonawszy się o uczciwości i wielkiej fachowości Marka, zezwolił mu na jazdę z myśliwymi zamiast gajowych, którzy nie trzymali koni.

Jednego Marek nie znosił organicznie — „pudlarzy“.

Ponieważ nadleśnictwo, przy którym zamieszkiwał, było dość odległe od Warszawy i poza sarnami nie obfitowało w zwierzynę, nie miało ono powodzenia u poważniejszej braci myśliwskiej i doroczny odstrzał 3 — 5 rogaczy dokonywany był przeważnie przez letników z pobliskiego pensjonatu — najczęściej przygodnych strzelców.

Z tego więc powodu Marek, jadąc po raz pierwszy z nieznanym sobie myśliwym, odnosił się do niego trochę nieufnie i nigdy nie pokazywał mu kapitalnej sztuki, lecz słabego „szóstaczka“, twierdząc, że mocniejszych w tym uroczysku nie ma (a były, i to nie byle jakie).

Nie uznając urlopu bez polowania, wyjeżdżałem na wypoczynek zawsze w połowie lipca i poszukiwałem letniska położonego w pobliżu lasów państwowych.

Pewnego roku polecono mi skromny pensjonat w Puszczy Kurpiowskiej, malowniczo położony przy brzegu Pissy i oddalony zaledwie o pół kilometra od nadleśnictwa, znajdującego się na skraju uroczyska obfitującego w sarny.

Umówiwszy się z nadleśniczym o odstrzał trzech rogaczy, zostałem „przedstawiony“ Markowi przez gościnnego gospodarza pensjonatu, jako „prawdziwy myśliwy z Warszawy“ .

Na zapytanie czy posiadam własną broń, czy też będą korzystał ze starej (kurkowej) dubeltówki gospodarza, pokazałem mu swojego Manlichera (5,7 z lunetą). Obejrzał go uważnie, zdziwił się, że ma aż dwa spusty (przyśpiesznik) i zawyrokował, że karabinek „fajny“, tylko niepotrzebnie ma obciętą lufę, bo to kula nie zdąży nabrać kierunku.

Obejrzawszy również lunetę i dowiedziawszy się, że służy ona do celowania na dystans ponad 100 metrów, spojrzał na mnie ironicznie i oświadczył: „Pan to może i rzetelny myśliwy, ale na inszą zwierzynę, bo widać na koziołki to pan nie zwyczajny — tutejsze panowie, co ze mną polują, to wiedzą, że trzeba strzelać na 40 — 50 kroków i śrutem, nie kulką“.

Spojrzałem na Marka ze zdumieniem i jednocześnie uświadomiłem sobie jakiego rodzaju „myśliwych“ dostarczał mu gospodarz pensjonatu. Odpowiedziałem, że jednakże zaryzykuję pojechać z tym sztucerkiem, i że członkowi Polskiego Związku Łowieckiego nie przystoi strzelać do rogacza „na podjazd“ z dubeltówki — śrutem.

Pierwszy rogacz, strzelony na 118 metrów prawidłowo „na komorę“, od razu zjednał mi całkowite zaufanie Marka i odtąd staliśmy się nierozłącznymi towarzyszami łowów.

Takiemu to człowiekowi zawdzięczam moją pierwszą upolowaną wydrę.

Pewnego razu, gdy powracaliśmy z ubitym rogaczem w świetnych humorach — ja z powodu znajdującego się na wózku trofeum w postaci pięknie uperlonych parostków o regularnej rozłodze, Marek zaś z powodu hojnego „strzałowego“, jakie ofiarowałem mu za artystyczne „podjechanie“ rogacza (strzelałem na 52 kroki, nie schodząc z wózka), wyznałem Markowi że marzę o zabiciu wydry, której dotychczas nie mam na rozkładzie, pomimo przeszło trzydziestoletniej mojej praktyki myśliwskiej. Słyszałem w pensjonacie, że jeden z letników, zapamiętały wędkarz, powracając późnym wieczorem do domu, widział jakieś spore stworzenie, podobne po ciemku do borsuka, które rzekomo, gdy się zbliżył o kilkadziesiąt kroków, wpadło do wody w położonej o parę kilometrów od pensjonatu zatoce.

Marek potwierdził, iż też słyszał o tym, ale nie miał czasu sprawdzić, wydrami dotychczas nie interesował się, ale gdybym chciał na nią zapolować, to postara się „wypatrzeć“.

Na drugi dzień wyjechałem do Warszawy i zapomniałem o tej rozmowie. Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy po sześciu przeszło miesiącach, w końcu lutego, powróciwszy z biura do domu, zastałem na biurku depeszę tej treści: „wydra jest, ciepło, księżyc, przyjeżdżać natychmiast — Marek“. Radość moja nie miała granic; zatelefonowałem niezwłocznie do swego dyrektora o dwudniowy urlop, do przyjaciela o wypożyczenie samochodu i, w ciągu niespełna trzech godzin, byłem już w drodze do N.

Zajechawszy późnym wieczorem do pensjonatu, zastałem tam Marka ,który wysławszy depeszę, nie wątpił, że „natychmiast“ przyjadę.

Zjadłem szybko kolację i o 10 wyruszyliśmy wózkiem do zatoczki. Księżyc dopiero wschodził, noc zapowiadała się ciepła i jasna, termometr wskazywał zaledwie niecały stopień poniżej zera.

Gdy podjechaliśmy o paręset metrów do miejsca zasadzki, Marek pozostawił wózek w kępie przydrożnych drzew i dalej poszliśmy piechotą, zachowując możliwą ci-

szę. Miejsce było wybrane doskonale: o kilkadziesiąt metrów od brzegu przechodziła droga obsadzona karłowatymi wierzbami oraz dość gęstymi krzakami, od strony zatoczki piaszczysty grunt łagodnym spadkiem schodził do wody; pomiędzy dwiema wierzbami Marek jeszcze za dnia sporządził coś w rodzaju ławeczki ukrytej w krzakach.

Usadowiliśmy się wygodnie, mając dużo czasu, gdyż według obserwacji Marka, wydra miała się pokazać dopiero, gdy księżyc będzie wysoko.

Upłynęła dobra godzina i zaczynałem już porządnie marznąć, a wydry wciąż nie było.

Z nudów zacząłem się rozglądać dookoła — bezpośrednio za mną ciągnął się pas piaszczystych pagórków, dalej niewielki lasek, który o kilkanaście metrów przerywał się i w przerwie tej widać było szeroką łąkę, wysrebrzoną poświatą księżycową; daleki horyzont zamykał się knieją, w której polowałem na rogacze. Po ciemnym, usianym gwiazdami niebie, płynął poważnie jasny, czysty księżyc, przesłaniany od czasu do czasu przez przelotne obłoczki.

Cały krajobraz, zalany seledynowym światłem, przypominał coś feerycznego, jakąś dekorację z bajki i był tak tajemniczy a zarazem piękny, że zapatrzywszy się, zapomniałem na chwilę o oczekiwanej z taką niecierpliwością wydrze.

Nagle usłyszałem za sobą plusk i jednocześnie uczułem lekkie uderzenie w bok — to Marek budził mnie z moich malarskich zachwytów i przywoływał do rzeczywistości.



Trubadur puszczy. rys. T. Bełżecki

Odwróciłem się ostrożnie w stronę zatoczki i — o radości — ujrzałem na pochyłości dużą wydrę. Stała nieruchomo, tuż przy brzegu, tak że koniec ogona tonął w wodzie, na której rozchodziły się jeszcze koncentryczne kręgi. Mokra jej sierść oświetlona na piersiach i grzbiecie jasnym światłem księżyca, wyglądała jakby pokryta śniegiem.

Na ogół jestem przy strzale opanowany i przy strzale do rogacza nie miałem wypadku, aby mi drgnęła ręka, lecz tym razem, nie wiem czy to z radości, że nareszcie urzeczywistniły się moje wieloletnie marzenia ,czy też z obawy, aby nie spudłować do tak upragnionego celu, uczułem jakiś ucisk w gardle i ręce poczęły mi tak dygotać, że chwilowo nie mogłem podnieść dubeltówki do strzału.

Przeleciała mi błyskawicznie przez głowę myśl, że zanim zdążę się opanować, wydra poczuje nas i pryśnie do wody, lecz na szczęście lekki wietrzyk od strony wody odnosił woń ludzką i ostry zapach juchtowych butów Marka w przeciwną stronę, a wydra wciąż stała nieruchomo, z podniesioną głową, wpatrzona w księżyc, jakby modląc się do niego.

Opanowawszy siłą woli wzruszenie, podniosłem broń do twarzy, wycelowałem w głowę i, pomimo że ręce mi jeszcze trochę drżały, nacisnąłem spust.

Jednocześnie z hukiem wystrzału usłyszałem gwałtowne pluśnięcie i byłem przekonany, że spudłowałem i wydra uciekła pod wodę. Ogarnęła mnie taka wściekłość na brak opanowania, że nie chciałem ruszyć się z miejsca, lecz radosny okrzyk Marka, który zaraz po strzale skoczył z krzaków na brzeg ze zwinnością rasowego wyżła, przywołał mnie do przytomności.

Zeszedłem na brzeg i ujrzałem w płytkiej wodzie, uwięzione pomiędzy dwoma kamieniami, brunatne ciało pięknej wydry.

Gwałtowne przejście od radości do rozpaczy i znów do radości wyczerpały mnie zupełnie i dopiero spora czarka wiśniówki, którą na wszelki wypadek zabrałem ze sobą, powróciła mi równowagę. Zmierzyliśmy odległość strzału — wynosiła 47 kroków.


Rapsod wiosenny. rys. T. Bełżecki

ZBIGNIEW KOWALSKI

Polowanie na głuszce i cietrzewie na toku

(wskazówki i rady praktyczne)

I

Polowania wiosenne są polowaniami, posiadającymi niewątpliwie najwięcej uroku i chwytającymi najbardziej za serce myśliwego. Ilość strzałów nie będzie na łowach wiosennnych zbyt duża, ale wrażenia pozostaną w pamięci niezatarte i niezapomniane na długo.

Podczas żadnego może z polowań myśliwy nie zgłębia tak do gruntu tajemnic przyrody i nie staje się jej cząstką, jak właśnie w czasie samotnych włóczęg po leśnych ostępach, w poszukiwaniu o popielatym zmierzchu głuszcowych zapadów czy toków cietrzewi o budzącej się złocistej zorzy.

Niemniej, aby polowania wiosenne były owocne, należy posiadać albo sporą praktykę i traperskie wyczucie starego wyjadacza myśliwego, albo też drogą rozmów z doświadczonymi łowcami, czy też czytając odpowiednią literaturę, przygotować się o ile możności teoretycznie do tych polowań.

*

Kiedy przeciągną już w wędrówce dalekiej na północ klucze dzikich gęsi, skowronek rozdzwoni się na dobre nad czarnymi skibami ziemi, a pełen godności bociek zacznie się przechadzać na łęgach nadrzecznych — w borach głębokich na mszarze, w sośniakach, zaczyna tokować głuszec.

Tok głuszca w Puszczy Augustowskiej, Białowieskiej, w lasach Białostocczyzny, w lasach po obu brzegach Sanu — rozpoczyna się w ostatniej dekadzie marca, w Borach Tucholskich, szczecińskich, nadbałtyckich, w Sudetach, Tatrach, w okolicach Istebnej — w początku kwietnia.

Miejsce toku głuszca jest bardzo charakterystyczne; będzie nim bowiem bagno zarośnięte rojstową sosną, wyspa o drzewostanie sosnowym wśród mszaru czy wrzosów, bądź drągowina 40—60-letnia sosnowa na jałowym suchym podglebiu. Choć miejsce odpowiednie na tokowisko jest tak charakterystyczne, że doświadczony myśliwy poznaje je z daleka i bez wahań, rzadko który rojst, wyspa czy suchobór, dostępują zaszczytu goszczenia głuszców w okresie godów wiosennych.

Miejsce toku nie zawsze jest znane dokładnie administracji lasów państwowych, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych. Toteż myśliwy, przyjeżdżający dla dokonania odstrzału, może się znaleźć w trudnej sytuacji, nie wiedząc gdzie szukać tokowisk. Pomocą w takim wypadku stanie się znajomość obyczajów i życia tego królewskiego ptaka.

Głuszce przez dziesiątki, a nawet setki lat tokują zawsze na jednych i tych samych miejscach. Nawet jeśli las na tokowisku został wyrąbany, to głuszce po odrośnięciu drzew wracają z powrotem na swe dawne miejsce godowe. Zaznaczyć w tym miejscu należy, że powierzchnia tokowiska, w zależności od warunków terenowych, będzie wynosiła kilka lub paręset hektarów. Na ziemiach zachodnich, gdzie bagien zarosłych karłowatą sosną jest niewiele, tokowiska koncentrują się na pobrzeżu małych bagienek lub na wyspach sosnowego lasu, wśród rozległych wrzosowisk, w dość skoncentrowanych skupiskach. Na wschodzie kraju, gdzie rojsty ciągną się kilometrami, tokowiska są przeważnie rzadko obsadzone kogutami, ale zato tokują one w większej ilości po całym bagnie. W górach tokowiska są bodaj najbardziej skomasowane, gdyż koguty z chwilą opadnięcia na ziemię grają podobnie jak ich pobratymce — cietrzewie, po zrębach czy śródleśnych polanach.

Wiedząc tych kilka podanych szczegółów, należy przystąpić do wyszukania tokowisk. Tu może przyjść myśliwemu z pomocą to, że koguty z końcem lutego lub początkiem marca kreślą na śniegu. Kreślenie polega na tym, że głuszec w miejscu, które obrał na swe przyszłe tokowisko, w słoneczne ciepłe dni chodzi napuszony między drzewami, znacząc tropy charakterystycznymi, drobnymi kroczkami i półkolistymi smugami, znaczonymi na śniegu końcami rozpuszczonych szeroko skrzydeł.

Jeżeli straż leśna miejsca takie zaobserwowała, możemy być pewni, że w miejscach kreślenia głuszce tokować będą. Jeżeli jednak brak śniegu czy zainteresowania nie pozwoliły stwierdzić tych okoliczności, wówczas głuszce przylatujące w jedno i to samo miejsce, czy też płoszone w jednym i tym samym ostępie w okresie: koniec lutego i początek marca, bądź też stale spotykane paprzyska na piaszczystych i żwirowatych miejscach — pokażą nam miejsce przyszłych godów wiosennych.

Naturalnie, dla uniknięcia mozolnych poszukiwań czy długiego zbierania informacji, dobrze jest wyszukać dawnego kłusownika, starego leśnika, robotnika leśnego czy wozaka, który pamięta gdzie w uprzednich czy nawet dawnych latach ubijano bądź polowano na głuszce na toku. Po otrzymaniu żądanej wiadomości dobrze jest sprawdzić otrzymane informacje. Poszczególne koguty tokują bowiem przeważnie na niewielkiej przestrzeni, chętnie powracają do jednej i tej samej grupy drzew czy nawet tego samego drzewa. Pod sosną, na której głuszec tokuje, bez trudu odnajdzie myśliwy ślady jego bytności w postaci ekskrementów. Ekskrementy te są łatwe do poznania, mają bowiem charakterystyczny kształt skręconych z żółtych nitek knotów o średnicy około 1,3 do 1,6 cm. Przy bliższym obejrzeniu zobaczymy, że nitki te, to strawione przez głuszca igliwie sosnowe.

Momentem, który nas bez żadnej już wątpliwości przekona, że znajdujemy się na właściwym tokowisku, jest wieczorny zapad głuszców. Kogut bowiem ma zwyczaj przylatywać na tokowisko wieczorem i z łomotem, głośnym jak wystrz: zapadać na wybranej sośnie. Zapad głuszca w cichą, bezwietrzną pogodę rozlega się gromko na odległość około 1 km, w dni jednak wietrzne bądź deszczowe dalej jak na 400—500 metrów nie można usłyszeć za-

padającego koguta. Krektuny zapadają ciszej, trzepocąc a nie łomocąc głośno skrzydłami. Głuszyca zapada z szumem skrzydeł jak cietrzew.

Zapady, poza stwierdzeniem obecności kogutów, są pierwszą częścią łowów na toku. Dodam w tym miejscu, że są częścią nierozłącznie związaną z tymi łowami, częścią, bez której na głuszce nie powinno się wogóle polować. Dleczego moment ten podkreślam, wyjaśnię poniżej.

Na zapady wychodzi się, w zależności od odległości do tokowiska, z takim wyliczeniem, aby zjawić się w wybranym na zasiadkę miejscu na pół godziny przed zachodem słońca, o godzinie 17.30. Na zapadach należy być wcześniej, aby nie płoszyć tych głuszców, które wcześniej zdążają na piechotę ku miejscom godowym. Zbyt blisko miejsca zwykłego zapadania ptaków nie należy zasiadać, by nie płoszyć później siedzących ptaków w czasie wycofywania się późnym wieczorem z tokowiska. Najlepiej zasiąść jest na podsłuchy w odległości 200 metrów od miejsc zapadów, w pobliżu suchej wyspy, drogi czy kładek, którymi można dojść, bądź wynieść się po cichu z tokowiska.

Kiedy słońce zniknie już za czarną ścianą lasu i niebo zacznie się czerwienić na zachodzie i kiedy milknie donośny śpiew drozda i zachrapie pierwsza słonka, można się lada chwila spodziewać zapadu głuszców. Często głuszec, dążąc na tokowisko, przeleci nad samą głową myśliwego, bądź też zasiądzie na rosnącej niedaleko sośnie na strzał — strzelać jednak w takim wypadku stanowczo nie należy, głuszca bowiem strzelamy tylko i wyłącznie z podchodu i w pieśni. Głuszec jest tak cenną i rzadką już dzisiaj zwierzyną w Polsce, że aby zdobyć czarny, nakrapiany białymi centkami wachlarz, należy przed tym posłyszeć jego śpiew, ponieść trudy podskakiwania, pamiętać, że może przyszłym pokoleniom nie będzie już dane polować na tego tajemniczego ptaka, którego cywilizacja wypiera z naszych lasów, zdaje się bezpowrotnie.

Głuszec, zapadając, łopocze głośno skrzydłami. Im głośniej zasiada, dając znać rywalom, że przyleciał na tokowisko i objął je we władanie, tym lepszy to będzie gracz o świcie. Najpewniej śpiewać będzie ten kogut, który po pierwszym zapadzie przesiadł się na drugie drzewo, potem zakrektał albo i dał dwie, trzy pieśni.

Głuszce, które grają długo wieczorami, rankiem milczeć będą, lub po kilku pieśniach zaprzestaną śpiewu, spływając wcześnie na ziemię ku kurom. Głuszce, które zapadają cichcem, nie krekczą i nie poprawiają się — to przeważnie młodzież, krektuny. Podejście i strzelenie koguta tokującego wieczorem na zapadach jest zupełnie zgodne z etyką łowiecką. Niemniej wobec zapadającego coraz szybciej zmroku, często małej ilości pieśni, lepiej jest podchód odłożyć do rana. Należy przy tym pamiętać, że kogut po zagraniu wieczorem kilku pieśni zakrekcze — znak to, że grać więcej nie będzie.

Po ustaleniu w miarę możności dokładnego miejsca zapadu głuszca, co do którego mamy pewność, że grać będzie rankiem dobrze, wskazane jest zaznaczyć w miejscu czat wieczornych kierunek jego zapadu, przy pomocy białych kartek papieru lub skrawków gazet, poprzywieszanych do pni drzewnych. Wskazane jest też, wycofując się z tokowiska, zaznaczyć szlak drogi powrotnej takimi samymi skrawkami papieru, aż do drogi czy wyspy. W razie kilku posłyszanych i ustalonych zapadów należy oznaczyć sobie kierunek tego głuszca, który zasiadł samotnie, gdyż w czasie podchodu zrywający się spłoszony sąsiedni kogut popsuje nam podchód pierwszego.

Jeżeli zbyt blisko zasiedliśmy głuszca i wycofaliśmy się już po nocy, należy podwójnym papierkiem zaznaczyć miejsce, do którego dojdziemy rankiem, by głuszca nie spłoszyć.

Opuszczamy tokowisko na zapadach po zapaleniu się gwiazd prosto nad głową. W razie, gdy się jest zbyt blisko obsadzonego głuszca — już o kompletnym zmroku, kiedy ptaki zasną na gałęziach. Wycofując się, należy iść jak najciszej i powoli, nie świecąc latarką i nie nawołując się, broń Boże, z osacznikiem.

Jeżeli po podsłuchach nocujemy w lesie, nie należy palić ogniska bliżej od tokowiska niż 1 km, nie należy też bliżej podjeżdżać samochodem o palących się jaskrawo farach i hałasującym głośno motorze.

Rankiem wychodzimy na polowanie z takim wyliczeniem czasu, by znaleźć się na brzegu tokowiska na dwie godziny przed wschodem słońca, o godzinie trzeciej. Do zasadzonego głuszca zbliżamy się możliwie jak najwcześniej, no i jak najostrożniej, kiedy ptak śpi jeszcze smacznie. Podchodzić bliżej niż na 200 metrów jest niebezpiecznie, gdyż czujny i ostrożny ptak może usłyszeć szelest czy trzaśnięcie gałązki i nie zagra już tego ranka zupełnie. W noce księżycowe, widne, głuszce grać zaczynają o pół godziny wcześniej, co należy uwzględnić przy wymarszu do kniei.

Zaznaczam, że w razie gdy zasadzony głuszec milczy, chodzenie po tokowisku i szukanie innego, grającego koguta jest mało owocne w skutkach, a płoszy tokowisko i może zepsuć toki w danym ostępie na całą wiosnę, a tym samym przekreślić możliwość zdobycia głuszca przez lekkomyślnego myśliwego.

Toteż jeżeli zasadzony głuszec nie rozpocznie gry, a widać już kontury dnia występujące z mroku, a nie ma możliwości cichego obejścia tokowiska brzegiem po suchych wyspach, liniach, drogach leśnych czy kładkach, lepiej jest polowanie spokojnie odłożyć na dzień następny, a cierpliwością i spokojem na pewno głuszca po dwóch, trzech dniach zdobędziemy. W razie mrozu porannego, który zetnę wodę na bagnie, podchód głuszca jest prawie niemożliwy. Jedyną radą w tym wypadku jest podejść bardzo wcześnie do zasadzonego koguta, kiedy on śpi jeszcze, na taką odległość, z której można rozpocząć bezpośrednio podchód w pieśni.

W tym miejscu przejdę do samej techniki polowania na toku, które nazywa się podchodem głuszca w pieśni. Podchód ten *niesłusznie zwany jest* przez wielu myśliwych *podskakiwaniem głuszca*, gdyż wszelkie skoki są w tego rodzaju łowach wyraźnie niewskazane, a to zarówno ze względu na trudność utrzymania równowagi po szybkim marszu naprzód, zatrzymania się w bezruchu po zakończeniu pieśni przez głuszca, jak i unikania gwałtownych ruchów, które dobrze, pomimo głuchoty, widzący ptak z daleka nawet może dostrzec.

Podchód głuszca polega na wykorzystaniu chwilowej głuchoty głuszca, która objawia on w czasie ostatniej zwrotki swej pieśni. Głuchota ta spowodowana jest wielkim na-

pływem krwi do szyi i głowy grającego koguta w czasie szlifowania.

Pieśń głuszca składa się z czterech części. Pierwsza — klapanie, którego dźwięki przypominają krótkie uderzenia o siebie dwóch deszczułek o metalicznym, głębokim podźwięku. Pieśń zaczyna się jednym lub dwoma klapnięciami, powtórzonymi dwa, trzy razy w tempie coraz szybszym. Klapanie przechodzi bezpośrednio w coraz szybsze, zlewające się prawie w jedno klapanie, zwane trelowaniem; dźwięk ten przypomina nieco terkotanie wabiącego na wiosnę kaczorka cyranki. Trelowanie kończy się pojedynczym, najgłośniejszym z całej pieśni dźwiękiem — korkowaniem, zwanym również tonem głównym. Korkowanie może być czasem zupełnie ciche, jak klapnięcie lub nie słychać go zupełnie. Korkowanie, jak nazwa sama wskazuje, przypomina do złudzenia głos odkorkowanej korkociągiem butelki. Bezpośrednio po korkowaniu następuje część pieśni zwana szlifowaniem lub głuchą pieśnią. Dźwięk szlifowania dość trudno przyrównać do innych, znanych w przyrodzie głosów. Przypomina ono zwielokrotniony, jednoczesny świergot gromadki ptasiej, czy może przerywany zgrzyt źle naoliwionego trybu, chodzącej powoli maszyny.

Myśliwi, którzy na głuszce nie polowali, nie będą mogli jednak polować samodzielnie na podstawie podanego powyżej opisu pieśni głuszcowej. Pierwsze kroki podchodu musi im pokazać towarzysz czy gajowy, który zna technikę tego rodzaju polowania.

Teoretyczne wiadomości nie wystarczają, bowiem myśliwy, nieprzygotowany na ogromną dysproporcję, jaka zachodzi między wielkością głuszca a nikłością jego głosu, podchodu w ogóle nie rozpocznie a dalekiej pieśni pośród innych szmerów i szelestów nocnych, pogwaru lekkiego wiatru i pluskania wody, niewprawnym uchem nie ułowi. Zaznaczam też, że głuszec dobrze słyszany z wyższego miejsca ostrowu będzie zupełnie niedosłyszalny po zejściu na mszary. Dowodzi to, że gra on jeszcze daleko, i że trzeba podejść w kierunku głosu około stu kroków.

Należy w tym miejscu jeszcze podkreślić, że głuszce, w zależności od okolicy naszego kraju, wykazują pewne różnice w samej pieśni. Na siłę i barwę głosu może też mieć wpływ pogoda. Według moich obserwacji głuszce tucholskie i szczecińskie grają dużo ciszej niż inne, klapanie słychać nie dalej jak na 120 — 150 metrów. Korkowanie jest zupełnie blade i często w ogóle niedosłyszalne. Głuszce augustowskie, białostockie, lubelskie i górskie grają dużo głośniej, ich korek można usłyszeć na dobre 250 — 300 metrów.

Niezależnie od tego czy koło Chojnic, czy pod Biłgorajem w czasie wiatru i deszczu pieśń głuszcowa jest bardzo trudna do usłyszenia nawet na 100 metrów, a zdarza się nawet, że i bliżej.

Tak, jak wieczorem łopot skrzydeł i krektanie przylatującego głuszca stanowią ostatni dźwięk w ogólnym rozhoworze układającego się do snu ptactwa, tak i o zorzy porannej głuszec pierwszy budzi się i po niedługim czyszczeniu piór i chodzeniu po gałęzi zaczyna śpiew. Myśliwy który podszedł do miejsca, które określił sobie jako miejsce startu do podchodu, przed obudzeniem się ptaka, winien odczekać aż ptak rozegra się na dobre. Z początku bowiem głuszec klapie tylko, rozpoczyna pieśń i nie kończy jej, łatwo wtedy przedwczesnym krokiem zepsuć polowanie.

Kiedy raz i drugi popłynie pieśń, przy czym, zaznaczam, że na 150—200 metrów nie słychać zupełnie głuchej pieśni — szlifowania, można już rozpocząć podchód. Myśliwy z chwilą, kiedy kończy się trelowanie, winien zrobić trzy posuwiste kroki w kierunku grającego ptaka. Miejsce dla podchodu należy badać przed sobą dokładnie, aby po trzecim kroku stać na nogach pewnie w zupełnie swobodnej pozycji. Należy też uważać, aby nie przeciskać się w czasie ostatniego kroku przez krzewy, które, prostując się już po zakończeniu pieśni, mogą wywołać szelest dosłyszalny dla głuszca.

Po kilkunastu kolejnych podchodach, mniej więcej po przejściu połowy drogi do grającego ptaka, w chwili postawienia trzeciego kroku, dobiegnie uszu myśliwego szlifowanie, które słyszy się dobrze z odległości poniżej 100 kroków.

Słysząc już szlifowanie należy podchodzić głuszca ostrożniej, unikając gwałtownych ruchów, kryjąc się za pnie grubszych drzew i robiąc nie więcej jak po dwa kroki.

Podchodząc głuszca w pełniejszym świetle, a wypatrzywszy go wcześniej, należy tak podchodzić, aby głowa ptaka wypadała za pniem drzewa, leżącego pomiędzy myśliwym a głuszcem.

Głuszec często pieśń przerywa, czasem ostrzeże go instynkt, czasem usłyszy coś, co wydaje mu się podejrzane, czasem jest to zwykła okresowa przerwa. Bowiem po 20 — 30 pieśniach ptak, nadsłuchując czy nie odzywa się gdzieś w pobliżu głuszyca, milknie i nie daje głosu przez czas 10 — 20 sekund.

Należy też pamiętać, że często kogut, przestraszony nieostrożnym zachowaniem się myśliwego, czy dalekim strzałem — umilknie. Jeżeli myśliwy stać będzie bez ruchu i bez drgnienia, głuszec powoli uspokoi się i nawet po półgodzinie rozpocznie pieśń na nowo.

Jako praktyczną uwagę podaję jeszcze, że kiedy jesteśmy już na dobry strzał od grającego koguta słychać wyraźnie szelest piór w wachlarzu i skrzydłach.





Z polowań przedwojennych.
fot. Z. Kowalski

Od chwili usłyszenia głuchej pieśni należy już zacząć wypatrywanie głuszca. Zdawało by się, że zobaczenie „takiego indora" na często bagiennej, małej sosence, nie powino przedstawiać większej trudności. Tymczasem jest wręcz odwrotnie. Wypatrzenie koguta, przeważnie jeszcze o zmroku, ukrytego w gałęziach i wcale nie bardzo pękatego i wielkiego, ale małego i smukłego, jest zdecydowanie trudne.

Jeżeli jeszcze głuszec gra, co rzadko się zresztą zdarza, na osice czy brzozie, na suchym, odstającym od strzały sosny sęku, bądź na samym szczycie korony niskiej sosenki, to wypatrzenie go jest po kilku pieśniach nie nazbyt trudne, ale gdy śpiewa on ukryty w gęstej grzywie gonnej lub wiekowej, pokręconej sosny, bądź na świerku, należy to do nie byle jakich umiejętności. Tu trzeba znów powrócić do znajomości polowania. Otóż głuszec w głuchej pieśni od wielkiej, gotującej się w nim namiętności i sporego wysiłku, trzęsie się febrycznie, udzielając tego ruchu gałęzi, na której siedzi. Po ruchu tym można ułowić sylwetkę ptaka o charakterystycznej sylwetce kulbaki o wysokich łękach. Wypatrując głuszca należy też pamiętać, że zapada on najchętniej na sęku w połowie wysokości drzewa i w pewnym oddaleniu od strzały drzewa. W dnie wietrzne zapada na jeszcze niższych gałęziach.

Osobiście radzę polować na podchód z dobrą lornetką, przewieszoną przez szyję na rzemyku. Odda ona nieocenione usługi nieprzyzwyczajonym do mroku oczom człowieka. Często bowiem głuszec, grający na osice, brany był przez myśliwego za jemiołę, na sośnie za gałąź, a w trudniejszych warunkach w ogóle niedostrzeżony opadał o świcie na ziemię do kur bez strzału.

W razie dłuższej trudności z wypatrzeniem głuszca, należy drzewo, na którym on przypuszczalnie tokuje, obejść w pieśń od innej strony. Dobrze jest też podskakiwać koguta od zachodu. Sylwetkę ptaka wypatrzyć na tle zorzy jest dużo łatwiej i pewniej.

Dodaję jeszcze, że nie widząc dobrze głuszca nie należy śpieszyć się ze strzałem, by nie trafić w sęk bądź w wiecheć sosnowej gałęzi, w których rozgorączkowana wyobraźnia i łowiecka pasja kazały widzieć sylwetkę tokującego ptaka, szczególnie, że głos głuszca ma specjalną właśność mylenia kierunku z którego nadchodzi.

Strzelać głuszca należy w czasie głuchej pieśni, choć przestrzegam, że trudno jest zsynchronizować pieśń z momentem naciśnięcia spustu.

Strzelanie głuszca, tokującego na ziemi, nie uważam wcale, wbrew opinii niektórych kolegów, za niezgodne z etyką łowiecką. Przeciwnie — głuszec tokujący na ziemi jest dużo trudniejszy do podejścia i wypatrzenia, szczególnie, że głos odwracającego się w coraz to innych kierunkach i biegnącego ptaka, myli odległość i cichnąc, każe podchodzącemu gubić pieśni. Podchodzić głuszca na ziemi najlepiej jest kryjąc się za drzewami, gdyż sylwetka myśliwego, odcinająca się wyraźnie na tle nieba, łatwo może być przez ptaka dostrzeżona.

Strzelać głuszca należy na odległość 20 do 30 kroków. Bowiem podejście koguta na tą metę nie przedstawia większych trudności, a tak niewiele mamy już dziś tego królewskiego ptaka w naszych lasach, że zbrodnią było by go postrzelić. Strzelać należy śrutem nr 1 (3¾ mm). Wszelkie strzelania loftkami, śrutem 5 mm itp. — uważam za całkowicie pozbawione zdrowego sensu. Strzelać najlepiej jest do głuszca z boku lub na sztych, strzelanie pionowe wprost w górę, bądź w wachlarz, powoduje często pudła o zmroku.

Po strzale powinien myśliwy natychmiast ruszyć do drzewa, pod którym tłucze skrzydłami strzelony ptak, gdyż zbarczony czy gorzej trafiony traci chwilowo orientację i daje się łatwo schwytać. Czasem zdarza się, że głuszec po strzale pozornie zdrowy ulatuje — po paru sekundach myśliwy słyszy ciężki upadek ptaka na ziemię. Należy w takim wypadku dokładnie zapamiętać kierunek, w którym głuszec poleciał i spadł, a jeszcze lepiej oznaczyć ten kierunek papierkami na pniach i po nastaniu dnia, koło godziny 8, można przystąpić do poszukiwań. Często, może nawet w połowie wypadków, głuszec zostanie znaleziony już martwy, rzadziej zerwie się — należy więc, szukając, mieć broń w pogotowiu; często nie znajdzie go w ogóle, gdy zabity ptak, padając z wysoka wbije się ciałem w mech i staje się niewidoczny dla szukających.

Choć zdawało by się, że strzał do koguta siedzącego na gałęzi nie powinien przedstawiać większej trudności, zdarza się duża ilość pudeł w czasie toków. Powoduje to w pierwszym rzędzie gorączka myśliwska, każąca strzelać po nocy. Tymczasem prawie zawsze można, bez obawy spłoszenia tokowika, odczekać pod głuszcem aż do światła, umożliwiającego już dobrą widoczność muszki i szyny.

Myśliwym, obarczonym kurzą ślepotą, polecam strzelanie o zmroku do głuszca z drylinga śrutem przez lunetę. Należy jednak pamiętać strzelając, że śrut góruje nieco przy strzale przez lunetę.

Zaznaczam w tym miejscu, że strzelanie kulą do głuszca uważam za niezgodne z etyką myśliwską. Pieśń głuszca, urok wiosennego poranka i wielka emocja podchodzenia, nie powinny być redukowane do wyczynów kulowych na daleką metę z głuszcem, jako niezbyt wygodną tarczą strzelecką.

Głuszcowi po zabiciu należy przeciągnąć wyrwaną lotkę przez dziób i zawiązać ją na supeł. Potem zawiesić koguta na zrobionej w ten sposób pętli na drążku i nieść za plecami, by nie niszczyć pięknego upierzenia i wachlarza.

Pogoda, poza silnym wiatrem, ma niewielki wpływ na tok głuszców, szczególnie w okresie 7 do 10 dni po rozpoczęciu toków, kiedy to następuje blisko tygodniowy okres szczytowego nasilenia gry. Wtedy ani śnieg, ani deszcz, ani mróz nie potrafią przerwać miłosnej pieśni roztokowanych ptaków. Czasem jednak zdarza się, że głuszce z niewyjaśnionej przyczyny grać przestają zupełnie. Po dniu milczenia tok rozpoczyna się na nowo. W ostatnim tygodniu jednak, wrażliwe na pogodę, często milczą, wróżąc deszcz na dzień następny.

Jako ogólna uwaga, jaka nasuwa mi się odnośnie polowania na tokach, to konieczność jak najcichszego zachowania się na tokowisku. Nie należy zatem głośno rozmawiać z osacznikiem, nawoływać się, świecić latarką i niepotrzebnie włóczyć po tokowisku, jak również strzelać w pobliżu do słonek czy kaczorów.

Najlepszym okresem polowania na tokach jest we wschodniej części Polski 2—15 kwiecień, w części zachodniej i północnej 10—25 kwie-

cień, w górach od 15 do końca kwietnia.

Ubierać powinien się myśliwy na tokowisko lekko, ale ciepło. Nieraz bowiem wypadnie stać dłużej, wysłuchując ptaka czy też pod milczącym ptakiem, to znów szybko podchodzić w ciężkim, bagnistym czy górzystym terenie. Buty należy mieć nieprzepuszczające wody, co najmniej do kolan, gdyż głuszec gra często, jeżeli nie przeważnie, w miejscach mokrych, na bagnie. Czapki leśniczej z lampasami i srebrnymi dystynkcjami lepiej na tokach nie nosić,, gdyż głuszec ma doskonały wzrok.

Podchodząc głuszca należy mieć zawsze, ze względów bezpieczeństwa, broń zabezpieczoną lub kurki spuszczone. Odprowadzać kurki czy odbezpieczać broń wolno jest dopiero bezpośrednio przed strzałem.

Dobre usługi oddaje też myśliwemu kij długi na dwa metry, mający służyć jako oparcie na bagnie i w czasie podchodu, kiedy to po trzecim kroku można stanąć w nieszczęśliwej pozycji — z jedną nogą zawieszoną w powietrzu.

Jako ostatnią radę praktyczną rzucę, że w czasie podchodu nie należy opierać się ręką o mijane drzewa, gdyż często dotknięty pień zdradzi ruchem korony idącego człowieka, albo też uschnięta bagienna sosenka zwali się pod ciężarem ludzkiej ręki na mech, psując polowanie.

II

Cietrzew, szczególnie cietrzew kogut, jest jednym z naszych najpiękniejszych ptaków krajowych. Czarno-fioletowe w czasie godowym upierzenie starego koguta, karminowo - czerwone, korale nad oczami, ogon wygięty w kształcie wysmukłej liry i śnieżno - białe podbicie skrzydeł, tworzą przedziwnie zharmonizowaną i piękną całość.

Sam tok cietrzewia, odbywający się o świcie i rankiem, w pełnym już świetle, na odkrytych i czystych łąkach, wypaleniskach czy podleśnych polach, zażarte walki kogutów, gra słyszana na odległość nawet kilku kilometrów — tworzą scenerię, której podobnej: barwą, ruchem i dźwiękiem—nie znajdziemy w całej przyrodzie.

Cietrzewie poważnie ucierpiały w czasie ostatniej wojny i okupacji. Wielkie rozmnożenie się wszelkiego rodzaju szkodników i drapieżników zlikwidowało mocno pogłowie tego pięknego ptaka, a ponadto ilostan i zasięg występowania cietrzewia kurczą się stale, wypierane przez cywilizację i inne niezbadane bliżej przyczyny.

Z podanych wyżej względów polowanie na cietrzewie rozporządzeniem Ministra Leśnictwa z dnia 22 marca 1949 r. ogranicza się do polowania wyłącznie na toku.

Polowanie na tokach ma ogromny urok i daje myśliwemu niewypowiedzianie wiele wrażeń wzrokowych i słuchowych, a ponadto, przy ściśle określonej wysokości odstrzału, jest sposobem polowania, dającym rękojmię stałego podnoszenia się stanu cietrzewi. Należy jednak pamiętać, podobnie jak przy polowaniu na głuszce, że cietrzew, choć wielokrotnie liczniejszy od swojego większego pobratymca, jest również zwierzyną rzadką i szlachetną. Toteż wszelkie rekordy strzeleckie na tokach są niedopuszczalne.

Dla zaspokojenia ambicji myśliwskich najzupełniej powinno wystarczyć strzelanie na tokach **jednego tylko koguta.** Późniejsza obserwacja rozwijających się coraz piękniej we wschodzącym słońcu toków, czubienie się kogutów tak gwałtowne, że aż sypią się wokół pióra i płynąca nieprzerwanie ponad ziemią dzwoniąca, jakby szklana pieśń, na pewno wynagrodzą myśliwemu wstrzemięźliwość. A rok rocznie lepsze wyniki polowań na tokach pozwolą się cieszyć coraz bardziej myśliwemu hodowcy wynikami pracy łowieckiej.

Najlepszym okresem polowań jest 12 kwiecień — 2 maj na zachodzie kraju, 20 kwiecień — 12 maj na wschodzie Polski.

1. Polowanie z budki

Najbardziej rozpowszechnionym sposobem polowania na cietrzewie na tokach jest polowanie z budki. Polowanie to polega na wykorzystaniu zwyczaju cietrzewi, iż corocznie, w początku kwietnia, zawsze w tych samych prawie miejscach, zlatują na wiosenne gody.

Miejsca tokowiskowe są dosyć charakterystyczne. Będą to zręby i wypaleniska śródleśne, podmokłe kępiate łąki, suche piaszczyste pagórki porośnięte wrzosem i jałowcami, bądź ugory w pobliżu miedz obsadzonych pojedynczymi drzewami. Niemniej mogą być nimi pola uprawne, leżące w pobliżu lasu, czy uprawiane wśród łąk spłachetki pól. Koguty potrafią tokować na takich polach w wysokiej nawet oziminie.

Jeżeli myśliwy nie zna sam miejsc tokowiskowych — należy przystąpić samemu do wyszukania toków. Cietrzewia tokującego, choć jest trzykrotnie mniejszy od głuszca, słychać dwudziestokrotnie dalej. Nierzadko przy pięknym, słonecznym i chłodnym poranku bełkotanie koguta cietrzewia, szczególnie jeśli gra on na drzewie, płynie na odgłość 3 do 4 kilometów.

Toteż, orientując się kierunkiem głosu, należy nie wcześniej niż w godzinę po wschodzie słońca zbliżać się powoli w kierunku tokującego cietrzewia. Z odległości około kilometra można już dostrzec czarny punkcik, prawie nieruchomy, ledwo że kręcący się w miejscu, a w chwili odwrócenia się białym podbiciem liry — niknący zupełnie. Jest to tokujący kogut.

Podchodzić bliżej niż na pół kilometra nie należy, gdyż cietrzew jest ogromnie ostrożny, z łatwością człowieka dostrzeże i odleci spłoszony, co nie wróży powodzenia na dzień następny.

Należy zaobserwować dokładnie miejsce toku, określając je charakterystyczną fałdą terenu, bądź kępą drzew, a następnie zasiąść spokojnie za krzakiem i czekać, aż tok poranny zakończy się zupełnie a cietrzewie odlecą.

Około godziny 9, kiedy toki się zakończą, można przystąpić do sporządzenia budki. W świeżo postawionej budce można zasiąść już o najbliższym przedświcie, gdyż budka, zrobiona prawidłowo, nie płoszy przylatujących na tok cietrzewi. Ważnym jest, aby budka była okryta świeżymi, a nie zeschniętymi gałęziami. Koguty przyzwyczajają się bardzo szybko do nowej budki, po kilku dniach potrafią na nie zasiadać i tokować.

Budkę stawiać należy możliwie w środku tokowiska, dlatego, że koguty zmieniają prawie codziennie swe miejsce o niewielkie odległości, od 20 do 100 kroków. Budki od budki nie należy stawiać bliżej niż 250 — 300 metrów, gdyż psuje to polowanie myśliwym siedzącym w budkach. Miejsce tokowisk, poza przybliżonym określeniem z odległości, można poznać po leżących na ziemi piórach, i trójpalczastych śladach tokowików na piasku czy błocie.

Budkę stawiamy z gałęzi sosnowych, jałowcowych bądź brzozowych krzaków. O ile budkę stawiamy na gruncie suchym najlepiej jest wykopać dół o głębokości i średnicy pół metra. Myśliwy, siedząc na ziemi, ma w ten sposób wygodne umieszczenie na nogi bez podkurczania ich, poza tym łatwo mu jest odwracać się na wszystkie strony, nie wstając z miejsca. Ściany budki utykamy z gałęzi wokół dołu (średnica budki z gałęzi winna wynosić około 1,5 m). Gałęzie należy wtykać mocno w ziemię. Wysokość budki powinna wynosić około 1,2 metra, przy czym górę budki najlepiej pozostawić otwartą dla umożliwienia strzału w lot.

Budkę na miejscach mokrych robimy bez kopania dołu. Siedzenia budujemy w kształcie litery T, wbijając paliki w ziemię i pokrywając je daszeczkiem. Wysokość takiej budki musi wynosić 1,60 m.

Budkę zbudowaną wyłącznie z gałęzi brzozowych, należy uszczelnić sianem, tak by kogut nie dojrzał pod światło sylwetki myśliwego.

Budkę wskazane jest też ustawić w pobliżu pojedynczych drzew, na których cietrzewie lubią siadać.

Po ustawieniu budki należy sprawdzić czy nie świecą się obok niej świeżo nacięte gałęzie, świeży, żółty piasek, bądź pozostawione papiery i usunąć je. Odchodząc należy dokładnie oznaczyć drogę powrotną do budki od najbliższego gościńca czy ścieżki. Rankiem bowiem, kiedy zmrok księżycowej nocy a często zupełna ciemność, zacierają kontury znajomej okolicy, trudno jest trafić do budki, przypominającej z odległości nawet paru kroków, otaczające ją jałowce czy pojedyncze kępki kilkuletnich sosenek. Zatem drogę do budki najlepiej, jak i drogę podchodową do głuszca, oznaczyć białymi skrawkami papieru.

Rankiem wyruszamy do budki z takim wyliczeniem, aby być na tokowisku na godzinę i 15 minut przed wschodem słońca, to jest w połowie kwietnia nie później niż około godziny 3.15. Podchodząc do budki należy zachowywać się cicho, nie palić papierosów i nie świecić latarką, aby nie spłoszyć kogutów, często nocujących blisko tokowiska.

Po zajęciu miejsca w budce należy zasłonić wejście do niej gałęzią, przygotowaną specjalnie w tym celu, i czekać spokojnie, cicho bez ruchu na rozpoczęcie się toków. Ubierać się na 3 — 4-godzinne przebywanie w budce należy ciepło, gdyż często o świcie bierze mróz. Dobrze jest wziąć ze sobą koc i podłożyć pod siedzenie i otulić nim nogi. Palić papierosa w budce nie należy, gdyż żarzący się ogieniek widoczny jest z daleka.

W 10 — 15 minut po zajęciu miejsca w budce powinien myśliwy usłyszeć pierwsze głosy budzącej się przyrody. Najprzód odezwą się kuliki, potem przeciągną górą kaczki, w chwilę potem odezwie się kwilenie czajki. W ciągu następnych 10 minut zrazu nieśmiało, a zaraz potem pełnym głosem rozdzwoni się w głębi seledynowego nieba skowronek. W parę chwil po odezwaniu się skowronka przeciągnie szumiącym lotem ponad budką jeden i drugi kogut, zapadając z krótkim łomotem na ziemę.

Przez kilka sekund, a czasem nawet kilka minut koguty, które przyleciały milczą, myląc niedoświadczonego myśliwego, aż wreszcie jeden z nich odezwie się niezwykłym dla nieprzygotowanego na taki dźwięk, głosem:

— Czau-hy!

Drugi kogut, a czasem i trzeci, odpowie na ten głos podobnym zawołaniem. Po kilku czuszyknięciach, podczas których koguty podfruwają nieco do góry, cietrzew który pierwszy się odezwał, nachylając się ku ziemi zaczyna bełkotać. Dźwięk bełkotania przypomina nieco gruchanie gołębia, nieco zaś bulgotanie gotującej się wody w szklanym imbryczku.

Koguta, który pierwszy odezwał się i zaczął bulgotać, nazywamy tokowikiem. **Tokowika kategorycznie nie wolno strzelać, gdyż zabicie go psuje zdecydowanie tokowisko, czasem nawet na zawsze.**

W ogóle ze strzałem nie należy się śpieszyć i w żadnym wypadku nie ryzykować strzału do czarnej plamy, ledwo że majaczącej w mroku. Dopóki cietrzewie nie roztokują się na dobre — obowiązuje bardzo spokojne zachowywanie się w budce. Kiedy jednak nasilenie toku po szabasie dojdzie do maksimum, można się ostrożnie przesuwać w budce na boki, robić otwory dla wypatrywania tokujących ptaków, przestawiać strzelbę na wygodniejszą stronę ewentualnego strzału itp.

Mniej więcej na 10 — 15 minut przed wschodem słońca koguty milkną jeden po drugim. Przysiadają przy tym, wtulając głowy w szyje. Ptaki tokujące w kępach i trawach milkną w nich zupełnie.

Nie obeznany ze zwyczajami cietrzewi myśliwy sądzi, że tok się już zakończył i koguty odleciały. Toteż po wyjściu z budki ogromnie staje zdziwiony, widząc ptaki rwące się, jak czarne race ku górze.

Przerwa ta jest przerwą normalną i powtarza się stale na tokach. Myśliwi nazywają ją szabasem. Przerwa trwa kilkanaście minut, aż do chwili ukazania się pierwszego promienia słońca.

„Koguty milkną, jakby dla uczczenia wschodzącego słońca" — mówi pięknie o tym zwyczaju cietrzewi Julian Ejsmond.

Po szabasie tok rozpoczyna się ze zdwojoną siłą. Koguty biją się ze sobą, biegają po tokowisku, przelatują z miejsca na miejsce. Teraz myśliwy może odstrzelić koguta, przy czym w pierwszym rzędzie należy wybierać koguty specjalnie awanturnicze, które rozpędzają inne tokujące ptaki, albo też siedzące skromnie z boku i nie bulgocące, tylko czuszykające, młode zeszłoroczne koguciki.

Zaznaczam jednak, że około 5 maja, gdy na brzozie rozwijają się liście, młode koguty zaczynają również bełkotać.

Strzelać do cietrzewia należy nie dalej niż na 40 kroków śrutem 3 mm nr 4 lub 3 1/4 mm nr 3. Do koguta siedzącego na ziemi i w pełnym oświetleniu strzał wydaje się być bardzo łatwy, tymczasem pudła wcale nie należą do rzadkości. Aby się od nich uchronić wskazane jest pamiętać, że poza emocją myśliwską myli ogromnie przy strzale obserwacja ptaka, znajdującego się prawie na poziomie oczu strzelającego. Poza tym często niewidoczna kępka czy piaszczysta kretowina zatrzymuje śruty i kogut ulatuje zdrów albo co gorzej postrzelony. Toteż każdego koguta, który był strzelany i poleciał, należy długo obserwować czy nie spadnie, gdyż cietrzew na tokach jest ptakiem twardym na śruty.

W razie zbarczenia cietrzewia należy go natychmiast dostrzelić, bądź — w razie niemożności dostrzelenia z budki — dogonić i dostrzelić.

O ile na tokach głuszcowych pogoda ma drugorzędne znaczenie, o tyle dobry tok cietrzewi uzależniony jest przede wszystkim od właściwej aury. Najlepiej tokują cietrzewie, gdy noc jest księżycowa a poranki słoneczne, dość ciemne, kiedy szron albo obfita rosa pokrywają łąki i zręby. Tok trwa wówczas długo, często do godziny 8. Silny wiatr, duży mróz 3 — 4°, deszcz lub wilgotny ciepły poranek psują toki zupełnie. Cietrzewie w czasie nieprzychylnej dla toków pogody przylatują na tokowisko wczesnym rankiem o zmroku jeszcze, czuszykają, dadzą parę pieśni, a kiedy zacznie się tylko rozwidniać odlatują z tokowiska.

O ile w nocy panowała piękna pogoda, a wiatr zerwie się dopiero o wschodzie słońca, toki będą pomimo wszystko dobre.

Jeżeli budka została postawiona w złym miejscu to doskonałym sposobem jest, po dokładnym zaobserwowaniu miejsca, w którym gra jeden czy kilka zgrupowanych kogutów, budkę przestawić i zasiąść w niej następnego ranka, nie ryzykując dalekich strzałów.

Cietrzew oprócz czuszykowania i bulgotania wydaje trzeci głos, będący pewnym odpowiednikiem krechtania u głuszca. Głos ten brzmi mniej więcej:

— Me-krrr!

Wydany pojedynczo jest jakby odchrząknięciem po kilkudziesięciu pieśniach i powtarza się okresowo. Powtórzony kilkakrotnie staje się głosem przestrachu i ostrzeżenia. Często po usłyszeniu takich krechnięć myśliwy dostrzeże przesuwającą się daleko sylwetkę ludzką lub szybującego pod niebem jastrzębia.

Polować przez dwa ranki z jednej budki bezwzględnie nie wolno, gdyż psuje to tokowisko.

Na zakończenie parę słów o strzale kulowym do cietrzewia. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem strzelania do kogutów na toku zarówno z małokalibrowych sztucerków, jak i Manlicherów czy Savageów. Kula małokalibrowa często bowiem rani tylko, a nie zabija. Pamiętam cietrzewia wypatroszonego zupełnie z Winchesterka kal. 22, który poleciał i nie został znaleziony. Strzelanie na tokach z precyzyjnych sztucerów z lunetą, przeważnie na wielkie odległości, uważam za nieetyczne i wogóle niedopuszczalne.

Polowanie na tokach polega przede wszystkim na wrażeniach estetycznych, toteż zdobywanie cietrzewi rozszarpanych na strzępy kulą na paręset metrów odległości, bez obserwacji i wysłuchania toków, nie jest w ogóle polowaniem.

2. Polowanie z podchodu

O ile podchód głuszca w łatwiejszym terenie i przy dokładnej znajomości pieśni nie przedstawia wielkiej trudności, o tyle podchód cietrzewia zawsze i wszędzie jest wielką sztuką łowiecką. Cietrzew jest ptakiem bardzo ostrożnym i pomimo śpiewu, a nawet walki, doskonale widzi i słyszy wszystko, co się dzieje naokół.

Podchodząc cietrzewia na głos należy pamiętać, że czuszykanie słychać jest nie dalej, jak na 250 — 300 metrów, zaś bełkotanie dziesięciokrotnie dalej.

Bełkotanie inaczej zupełnie brzmi na bliską i daleką metę. Słyszana z odległości do 100 kroków pieśń ta rozpada się na poszczególne rwane

JÓZEF TARGOWSKI

Głuszec w Rudniku

POWIADAJĄ, że u człowieka gusty zmieniają się co siedem lat, u mnie zmieniały się wiele razy, ale bardzo nieregularnie, bo coraz to z innych przyczyn. Za lat dziecinnych nadzwyczaj lubiłem okres Wielkanocy; było dużo wiosennych porządków i świątecznych przygotowań, a zato nauki było mniej, bo wszyscy dorośli byli czymś zajęci w ogrodzie, w polu, w kuchni, w spiżarni, więc i swobody dzieci miały więcej. A poza tym w święta były różne smakołyki. Gdy dorosłem do strzelby i polowania, gust się zasadniczo zmienił, bo to w okresie Bożego Narodzenia odbywało się wigilijne polowanie, które stanowiło największą bodaj radość w całym roku, no, więc dlatego wolałem okres świąt zimowych od wiosennych.

Przyszły dojrzałe i starsze lata, gdy zacząłem polować na grubszego zwierza, znowu więc się wszystko odmieniło i od jesiennego rykowiska liczyłem dni do Wielkanocy, bo przecież w okresie wielkiego tygodnia proszony byłem przez mego przyjaciela na głuszce do Rudnika i to rok rocznie.

Droga była dość skomplikowana: trochę koleją, trochę samochodem, a wreszcie furką i konikiem do małego domku myśliwskiego w głębi lasów, gdzie się na kilka dni z całym potrzebnym taborem i aprowizacją wyjeżdżało. Radosne i beztroskie były te kilka dni, spędzone z dala od codziennych trosk i kłopotów oraz zamętliwych ludzi.

Wyjeżdżało się z Warszawy w sobotę późno wieczór, a zwykle w niedzielę palmową stawało się popołudniu na miejscu, tak, że był jeszcze czas pójść zasadzić na bliższych terenach głuszca. Jechaliśmy zwykle we dwóch z A. P., dobrym myśliwym, a jeszcze lepszym przyjacielem, który mimo, że znacznie młodszy ode mnie, już dawno wsiadł do łodzi Charona.

Wieczorne meldunki zapowiadały trzy głuszce zasadzone: jeden w dużym, błotnistym lesie, jeden za stawami, a trzeci na suchym toku.

Ciągniemy węzełki ja, kolega i leśny; wypada mi iść na duży błotnisty las, a potem mamy co dzień zmieniać kolejność, by każdy z nas trzech polował na każdym z tokowisk. Dzień, w którym przyjechaliśmy, był ciepły, wiosenny; koło myśliwskiego domku całe klomby krokusów rozwinęły się spod pozostałych gdzieniegdzie płatów brudnego, zgruźlonego śniegu, a wieczo-



Powrót z tokowiska.
fot. Z. Kowalski

Polowanie na głuszce i cietrzewie na toku

dźwięki o wyraźnie wznoszącej się i coraz silniejszej skali, z dalszej odległości pieśń, choć przybiera na sile, ale matowieje, staje się jakby rozlewniejsza i cała o jednakowym natężeniu głosu. Ciekawe, że na odległość paruset metrów pieśń cietrzewia staje się pełniejsza i jakby zdająca się płynąć z bliskiej zupełnie odległości. Toteż niewprawny myśliwy często podkrada się do koguta, który gra za lasem o parę kilometrów, a czasem włazi na koguta, który tokuje tuż za niewielkim wzgórzem.

Podchodzić stosunkowo najłatwiej jest w krzakach, czy zagajnikach. Zaczynać podchód należy jeszcze o półmroku i posuwając się tylko w chwili, kiedy kogut bełkocze, albo też, gdy dwa cietrzewie czubią się ze sobą. Podchodzenie w pełnym świetle i na miejscach odkrytych, choćby z czołganiem się i kryciem poza krzakami, nie daje żadnego rezultatu. Grającego na drzewie koguta jest stosunkowo łatwiej podejść w zagaju, czy lesie, gdyż tak jak i głuszec gorzej widzi on zlewającą się z otoczeniem sylwetkę myśliwego. Podchodzenie cietrzewia, grającego na drzewie w miejscach odkrytych, jest bezcelowe.

Jeżeli podchodząc koguta usłyszymy kwoktanie cieciorki poza sobą, należy się zatrzymać, gdyż kogut przeważnie podbiegnie albo też podleci w naszą stronę. Jeżeli cietrzew zaniepokoi się, wyczuwając jakby podchodzącego myśliwego, należy spokojnie odczekać, aż ptak zacznie grać ponownie.

Często zdarza się, że podekscytowany kogut da się podjechać wózkiem. Podjeżdżać należy bokiem, nigdy wprost na grającego koguta.

Jeżeli uda się podejść cietrzewia na strzał, należy się bardzo szybko decydować na naciśnięcie spustu, gdyż cietrzew w każdej chwili może dostrzec myśliwego i ulecieć.

3. Polowanie na wab.

Polowanie na wab nie jest oddzielnym rodzajem polowania na cietrzewie. Wab jest tylko pomocą przy polowaniu z budki, a przede wszystkim przy polowaniu z podchodu.

Wabić można, naśladując czuszykanie koguta, albo też kwoktanie kury.

Jeżeli kogut znajduje się dość blisko, należy naśladując czuszykanie, jednocześnie uderzać się dłońmi po bokach ciała, imitując tym łopot skrzydeł cietrzewich.

Wabić należy rzadko, jakby odpowiadając tylko na głos tokującego cietrzewia.

Naśladowanie cieciorki podobne jest do dźwięków:

— Ko-ko-ko-ko!

Wydając ten głos należy ścisnąć nos palcami, gdyż otrzymujemy wtedy pełniejszy i bardziej prawdziwy dźwięk.

Bardzo dobre rezultaty daje, gdy wabiący przystanie na miejscu, a myśliwy stara się od innej strony podejść grającego cietrzewia.

Często też kogut zrywa się na wab i leci w kierunku głosu, strzelać należy wtedy w lot, gdyż cietrzew dojrzy przeważnie w ostatniej chwili myśliwego i skręci z miejsca w bok. Wabiąc z budki można być pewnym, że kogut usiądzie niedaleko, toteż ze strzałem nie należy się śpieszyć.

*

Na zakończenie raz jeszcze powtórzę — szanujcie i ceńcie wysoko, koledzy myśliwi, polowanie na głuszca i cietrzewia na toku, bowiem wspomnienia o zdobyciu wachlarza głuszcowego czy liry cietrzewiej na pewno głębiej zapadną w duszę i stanowić będą, może piękniejsze wspomnienia niż wspomnienia z wszystkich innych przeżyć łowieckich. I nie strzelajcie nigdy na tokach więcej niż jednego koguta, bo „wielkich wrażeń i przeżyć nie należy nigdy rozmieniać na drobne".

rem chwycił mocny przymrozek, sierp księżyca zachodził, ciemny strop nieba nabity był złotymi gwoździami.

O drugiej w nocy usadowiłem się na jednokonnej powózce, leśny koło mnie i wolno ruszyliśmy. Cisza głucha zalegała dokoła, tylko wózek terkotał po grudzie, aż zjechaliśmy na równą, piaszczystą drogę. Telepiąc się wolno przez blisko godzinę, skręciliśmy nagle na dołek, a łamiący się lód i mokra łąka chlupały pod kopytami małego konika. Za chwilę jesteśmy na kładkach.

Ułożone z trzech cienkich, równoległych żerdzi, przybitych do wkopanych słupków, kładki są wąskie i mocno oblodzone szronem, tak że trudno się na nich utrzymać, mając od tego buty na śliskich podeszwach. Leśny bierze moją strzelbę, a daje mi dość długą tyczkę, przy której pomocy, mimo ślizgawicy, posuwamy się coraz lepiej, bo do wszystkiego trzeba się powoli przyzwyczaić. Idziemy bardzo długo, przynajmniej mnie się ten niewygodny spacer wydaje przeraźliwie długi, aż nareszcie zatrzymujemy się koło krzaka, na którym zatknięty jest kawał starej gazety. W ten sposób leśny, zasadzając wczoraj głuszca, zaznaczył miejsce, gdzie trzeba z kładki skręcić w las. Idąc za leśnym, tylko że dosyć niezgrabnie i nieśmiało, wpadam od razu po kolana w błoto. Po nierównym rojście, noga raz płycej raz głębiej zapada się w błoto, ale za każdym stąpnięciem jednako głośno pluszcze bagnisko. Leśny mnie zatrzymuje i zwraca uwagę, że jesteśmy niedaleko od głuszca, więc trzeba stanąć i poczekać, aż pieśń usłyszymy. Stajemy więć, cicho nadsłuchując, ale tylko bańki powietrza syczą, wydobywając się spod mszaru.

— Gra, — mówi szeptem leśny.

Nie słyszę nic, ale nadstawiam ucha. Leśny mnie mija i prowadzi. Robimy kilkakrotnie po dwa skoki, znów stajemy, a ja nadsłuchuję. Po dłuższej chwili chwytam uchem ciche brzęczenie, jakby kto paznokciem uderzał miarowo w kopertę od zegarka, ale nic więcej. Potem chwytam szlifowanie, ale już tego charakterystycznego mlaśnięcia, po którym następuje korkowanie, wcale nie słyszę.

Robię więc skoki, trochę na chybił trafił, gdy ptak kończy szlifowanie i, oczywiście, jeden raz ku zgorszeniu leśnego plusnąłem tak głośno wodą, że głuszec urwał w pół pieśni.

Ale na szczęście nie spłoszyłem go, gdyż po chwili dał tak głośną pieśń, że wszystkie jej trzy części znakomicie słyszałem; widocznie musiał się ku mnie obrócić. Daję więc znak leśnemu, by został i już dalej sam idę.

Teren fatalny, coraz głębiej się grzęźnie w trzęsawisku, ale choć bardzo wolno, posuwam się jednak naprzód. Nagle czuję, że prawej nogi nie mogę wyciągnąć z błota i chcąc skoczyć — wywracam się jak długi.

Głośny plusk przypadł na szczęście podczas pieśni głuszca, od którego już bliski dzieli mnie dystans. Czułem, że jest blisko, ale szara godzina, ledwo budzącego się dnia nie pozwalała nic dojrzeć. Lufy zanurzyły mi się w wodzie, do wodera prawej nogi wlewa się woda, peleryna unosi się szerokim kręgiem na bagnie, w którym drugą, lewą nogą przyklękłem, by utrzymać równowagę. Szybko zorientowałem się, że koniec prawej stopy zasunął się pod korzeń drzewny i zatrzymując nogę jak w kleszczach, spowodował upadek. Teraz trzeba się było decydować, wybierając jedno z dwojga: albo leżeć rozciągnięty bez ruchu na bagnie, czekając aż głuszec zagra, albo też rezygnować z dalszego dziś polowania, podnieść się i otrzepywać z wody. Szybko zdecydowałem się i postanowiłem bez ruchu czekać, aż głuszec znowu zagra.

Minęła tymczasem dłuższa chwila, ale gra się nie powtarza. Pozycja moja jest coraz nieprzyjemniejsza, biję się z myślami co robić, ale wciąż trwam w powziętej decyzji i nieruchomej pozycji.

Mija jeszcze kilka minut niebywale długich i trudnych do wytrzymania. Słyszę wreszcie początek niedokończonego szlifu, powtarza się zaraz po tym niedokończona pieśń, wreszcie za trzecim razem nareszcie korek. Z wysiłkiem rzucam się całym ciałem w tył, by wydobyć ścierpłą nogę z uwięzi pod korzeniem, a równocześnie usiłuję z trudem dźwignąć się i uklęknąć na drugie kolano. W tej już cokolwiek wygodniejszej pozycji i w nadziei, że się całkowicie z niej wydobędę, doczekuję następnej pełnej pieśni, podczas której otwieram strzelbę, wyjmuję ładunki i przedmuchuję lufy.

Dzięki bardzo szczelnym kamerom ładunki były wilgotne tylko od strony śrutu, a więc zdatne do użytku, gdy tymczasem zapasowe, które miałem w kieszeni, były zupełnie przemoczone. Przy następnej pieśni podnoszę się i lekko otrzepując z wody, czuję się już znacznie lepiej, jakby wyratowany z jakiejś nieprzyjemnej katastrofy.

W powietrzu nad głową gwizdnął kszyk. Rozwidnia się coraz lepiej, las budzi się ze snu, gdzieś z daleka słychać gulgotanie tokujących cietrzewi. Przez dwie pieśni skaczę pod głuszca i nagle w przerwie słyszę głośny tupot i pluskanie kopyt w krzakach, a głuszec oczywiście milknie. Zaczynam przypuszczać, że tok już na dzisiaj skończony, i że z niczym, po tak mozolnym podchodzie, wrócę do domu. Tymczasem orientuję się po lekkim sapaniu, że to łoś podszedł i tłucze się obok w krzakach. Czekam zrezygnowany, błoto na twarzy już mi zaschło, a więc je lekko wykruszam, woda ścieka z peleryny, nogi chlupią w woderach, strzelba ciąży pod pachą.

Tupot łosia zaczyna się oddalać, ale głuszec uporczywie milczy. Nagle odezwał się silny furkot skrzydeł, myślę że to mój głuszec zerwał się z chojaka, a tu tymczasem o parę kroków ode mnie zasiada głuszka na większym kupściu, których gęste kępki sterczą na rojście. Głuszka jest tak blisko, że silniejszym oddechem obawiam się ją spłoszyć, więc stoję wpatrzony tylko w ptaka, otrzepującego skrzydła schlapane wodą przy zasiadaniu.

Po krótkiej chwili odezwał się nagły szlif gluszca na drzewie, stojącym o jakie 20 kroków ode mnie, ale w parasolu gęstych, sosnowych gałęzi nie mogę jeszcze dostrzec ptaka. Szlif się parę razy powtarza, coraz gwałtowniejszy, aż wreszcie słychać mlaśnięcie głośnego korka, no, i pieśń, podczas której nie ruszam się z miejsca, by nie spłoszyć lekko pogdakującej głuszki. Gdy się tak zastanawiam co robić, gdakanie po pieśni się powtarza, wreszcie głośny trzepot skrzydeł z sosny zwiastuje, że głuszec zerwał się z drzewa. Szybko zatoczył duże półkole między drzewami i krzakami, i usiadł na kupściu o parę kroków od głuszki, no, i ode mnie. Rozglądnął się dokoła, ale mnie nie spo-

strzegł, bo zasłaniał mnie dołem gęsty krzak jedliny, sponad którego tylko część głowy wystawała. Ptak obrócił się wokół siebie, rozwinął skrzydła i ogon, wyciągnął długą szyję i zagrał. Nigdy w życiu nie widziałem tak blisko grającego głuszca, wpatrywałem się więc w ten widok z pragnieniem, by jak najdłużej trwał.

Myśliwska żyłka, a szczególniej żądza trofeów, wywołały decyzję, że o ile mam z głuszcem wracać do domu, to już najwyższy czas do strzału. Szybka decyzja sprawiła, że podczas najbliższej pieśni głuszec padł, nie zakończywszy godów weselnych. Wystraszona głuszka uleciała.

Tłukąc się na wózku w powrotnej drodze, rozmyślałem szczegółowo nad całym przebiegiem dzisiejszego polowania i przeżytych wrażeń. Leżący przede mną w słomie głuszec, był niezawodnie zasłużoną nagrodą ciężkiego myśliwskiego trudu, ale równocześnie wywołał uczucie niesmaku, jakby po spełnieniu jakiegoś niegodnego czynu.

Często w życiu miałem jeszcze sposobność podchodzenia głuszców, ale robiłem to już bez strzelby a z aparatem fotograficznym. Szereg udanych zdjęć sprawiło mi, jako staremu myśliwemu, bodaj więcej radości niż sam strzał, najczęściej tak łatwy, jakby do indora na podwórku kurnika. Fotografia powiększona była wykładnikiem epopei głuszcowej, a zawieszona wśród trofeów myśliwskich, nie zostawiała nigdy niesmaku mordowania zwierząt w chwili godów małżeńskich.

JÓZEF STADION RZYSZCZEWSKI

Gdy o głuszcach mowa...

Rozważania o głuszcach kol. Władysława Zabiełły w jednodniówce „Łowiectwo na Pomorzu" z r. 1948 oraz kol. Włodzimierza Korsaka w numerze 3 Łowca Polskiego z marca 1949 r., zawierające wiele ciekawego i cennego materiału, są mi bodźcem dla tak pożytecznej i potrzebnej wymiany spostrzeżeń między myśliwymi o tej naszej czarownej, skrzydlatej zwierzynie.

A więc, gdy o głuszcach mowa, pozwalam sobie dorzucić parę szczegółów.

Mam siedemdziesiąt głuszców na rozkładzie, strzelonych przed wojną podczas pieśni na tokach w kraju oraz w Górnej Austrii, Salzburgu i w Czeskim Lesie. Wiosna 1948 r. dała mi możność obserwowania pierwszy raz głuszców pomorskich podczas trzykrotnego pobytu na tokach na Pomorzu Zachodnim. Tam głuszcza nie zabiłem, ponieważ na tokach strzelam głuszca tylko w pieśni, a tokowały rzadko, urywkowo. Powodem tego była prawdopodobnie bardzo zmienna pogoda, z silnymi, mroźnymi wichrami, na co głusze są wrażliwe.

Całość toku głuszca składa się z czterech części. Pierwsza to „klapanie", druga — „trelowanie", trzecia — ton główny, tzw. „korek" oraz czwarta — pieśń.

Całość toku, gdy każda z jego części jest dźwiękowa, zwę „pełnym, dźwiękowym tokiem głuszca". Poszczególne części toku mogą być mniej lub więcej głośne, przy czym trzecia „korek", może być zupełnie niema, bezdźwiękowa.

W mej praktyce spotkałem się z różnymi odmianami dźwięku poszczególnych części toku, ale tylko u kogutów nizinnych. U głuszców górskich nigdy tego nie zauważyłem. Ich tok jest w całości dźwiękowy, choć rozumie się, może być cichszy lub głośniejszy. Miałem kiedyś możność zaobserwowania w Białowieży, a więc u głuszca nizinnego, właśnie taki typowy, w całości niedźwięczny tok koguta w sile wieku. Tokował o 10 kroków ode mnie na wykrocie, długo, prawie bez przerwy, a trzecia część toku, każdym razem wykonana była przez niego z wielkim fizycznym wysiłkiem, zupełnie bez dźwięku. Obserwacja ta może być poniekąd wyjaśnieniem specyficznego charakteru toku kogutów na Pomorzu.

Chcę jeszcze nadmienić o spostrzeżeniu odnośnie czwartej części pieśni kogutów na Pomorzu Zachodnim, z czym się dotychczas gdzie indziej nie spotkałem. Mianowicie wszystkie koguty, których grę tam słyszałem w r. 1948, stare i młodsze, wykonywały pieśń w sposób chrapliwy, zaś stare koguty wykonywały jakby grube charkanie. Może za mało miałem sposobności obserwować tam toki głuszców, by nazwać to spostrzeżenie charakterystyką pieśni kogutów pomorskich, lecz uważam, iż to jest ciekawy materiał dla dalszych badań, by fakt ten móc z czasem ustalić jako cechę charakterystyczną. Po wysłuchaniu pewnego ranka urywkowego tokowania sześciu kogutów i analizy ich toku, stwierdziłem też zanik dźwięku trzeciej części, co tak pięknie opisuje kol. Zabiełło. Sklasyfikowałem mniej więcej wiek kogutów słyszanych. Doszedłem do wniosku, iż pomiędzy nimi są przypuszczalnie dwa bardzo stare koguty. Wkrótce potem zostało mi to potwierdzone: byłem bowiem świadkiem zbiegowiska i zlotu głuszców na środku szerokiej linii leśnej i ich zawziętego, generalnego boju. Pomiędzy nimi wyróżniały się wyraźnie dwa stare koguty.

Bojowość nie jest wskaźnikiem nadmiaru kogutów selekcyjnych. Występuje ona jako naturalna selekcja przy rozmnoży kogutów jeszcze niedojrzałych. Ten objaw natomiast u bardzo starych, przeważnie już jałowych kogutów, specjalistów w rozbijaniu tokowiska, jest dla rozmnoży fatalny w skutkach. Wychodząc z założenia hodowlanego, takie koguty powinny być koniecznie odstrzelone, a odstrzały takie, jako specjalnie hodowlane, przeprowadzone przez myśliwego głuszarza.

Właściwy stosunek płci u głuszców powinien być 1 do 3—4.

Tym zabiegiem hodowlanym osiągnąłem kiedyś bardzo dobre rezultaty, dające zadziwiające nawet z roku na rok podniesienie się stanu, przy normalnym odstrzale około 30% kogutów. Odstrzał normalny powinien obejmować jedynie koguty w sile wieku, a więc od czwartego roku życia. Żadna inna forma odstrzału sztywnie ustalona, nie uwzględniająca tych wymogów, nie da należytego rezultatu hodowlanego.

Ręka w rękę z tym powinno iść utrzymanie bezwzględnego spokoju na tokowiskach i w ostojach głuszców, wielka ostrożność przy obserwacjach, by nie płoszyć, odstrzały powtarzane nie wcześniej, jak co drugi dzień i tępienie zwierzyny drapieżnej dokoła ostoi, używając do tego zarówno broni palnej, jak pułapek w samych ostojach. Każda sposobność odstrzału koguta selekcyjnego powinna być wykorzystana. To ostatnie wymaga czasem wiele cierpliwości, pracy obserwacyjnej, a nawet i dni mozołu, aby sklasyfikować każdego koguta.

LEOPOLD PAC POMARNACKI

Ciągi lęgowych słonek

W pojęciu ogromnej większości naszych myśliwych ciąg słonek kojarzy się zwykle ze wspomnieniami 5 — 10 dni kwietniowych, ciepłych i pogodnych, gdy o zachodzie słońca brzeźniak czy wilgotna olszyna rozbrzmiewa serenadą drozdów, ćwierkaniem zięb i buczeniem przelatujących czarnych chrząszczów, a w płytkich kałużach budzi się pierwszy nieśmiały rechot rozradowanych wiosną żab.

W tym to czasie stadka dążących na północ słonek zatrzymują się na przeciąg kilkunastu dni w naszych kniejach, by z nastaniem zmierzchu lub też o świcie, przemknąć lotem godowym nad czubkami drzew, wieszcząc się okolicy charakterystycznym chrapaniem, zakończonym pojedyńczym, ostrym dźwiękiem, przypominającym nagłe gwizdnięcie.

Tam, gdzie nie ma dogodnych miejsc lęgowych, słonki przelotne bawią krótko, czasami tylko kilka dni i ponownie można się z nimi spotkać dopiero jesienią, we wrześniu czy październiku, gdy ptaki północne, uciekając przed zimą, biesiadują w naszych lasach, tak długo, aż nadciągające chłody zmuszą je wreszcie do dalszej wędrówki na południe.

To wiosenne pojawienie się słonek myśliwi wykorzystują do polowań na ciągu, polowań miłych, pozostawiających niezatarte wrażenia w duszy człowieka, wrażliwego na piękno natury.. Oprócz tych słonek przelotnych, nawiedzających wszystkie zakątki naszego kraju, są też okolice, gdzie spotykają się słonki mejscowe, bawiące tam od wczesnej wiosny aż do mrozów i odbywające dwukrotnie ciągi oraz lęgi. Są to przeważnie tereny góskie, a na nizinach zaś obszary wilgotnych lasów liściastych, urozmaicone bajorkami i przerżnięte wstęgami mokradeł czy strumyków, porosłe olszą, brzozą, świerkami i osiką. Tam słonki znajdują pod dostatkiem urozmaiconego pożywienia oraz odpowiednie miejsca do założenia gniazd.

Jedną z takich okolic, licznie zamieszkały przez słonki lęgowe, są Góry Świętokrzyskie. Od kilku lat obserwuję tam pierwszy i powtórny ciąg słonek i spostrzeżeniami swymi chcę się podzielić z czytelnikami Łowca Polskiego, gdyż rzucają one pewne światło na sprawę polowań na ciągu i obowiązującego obecnie czasu ochronnego dla tego sympatycznego ptaka.

Pierwszy, wiosenny ciąg słonek w Górach Świętokrzyskich, w zależności od panujących tej wiosny warunków atmosferycznych, rozpoczyna się pomiędzy 25 marca a 1 kwietnia w 15 — 25 minut po zachodzie słońca i trwa około 40 minut. Przez cały ten okres czasu ciągną słonki równomiernie, co jakieś 5 minut jedna od drugiej, w ilości 8 — 10 sztuk w czasie wieczoru.

Przy ładnej pogodzie ciepłej i bezwietrznej, wszystkie sztuki ciągnące wydają chrapanie i gwizd. W dni chłodne i wietrzne słonki tutaj tylko gwiżdżą, pomijając całkowicie chrapanie. Jeżeli chodzi o słyszany w czasie ciągu głos, to przyjęło się w literaturze łowieckiej określenie, że składa się on z trzykrotnego chrapnięcia i zakończony jest gwizdnięciem.

Przysłuchując się uważnie chrapaniu w Górach Świętokrzyskich, stwierdziłem z całą dokładnością, że chrapnięć bywa zawsze cztery, przy czym trzecie jest jakby niedokończone i zlewa się z czwartym. Dźwięki wydawane przez słonkę brzmią następująco: *chor, chor, chochor, dziks*, a w czasie powtórnego (czerwcowego) ciągu słyszałem sztuki, które chrapały pięciokrotnie, opuszczając natomiast gwizdnięcie.

W miarę tego, jak wiosna coraz szerszym tchnieniem ogarnia ziemię, słonek na ciągu stale przybywa i tak np. w dniach od 10 do 14 maja na tym samym stanowisku, gdzie w kwietniu ciągnęło co wieczór 8 sztuk, teraz już przelatywało 14 do 15 sztuk. I pomimo to, że każdego dnia polowania odstrzeliwano 2 — 3 ptaki, ilość słonek na ciągu wcale się nie zmniejszała. Taki stan rzeczy obserwuję już od 3 lat z rzędu, przy czym słonki dobrze ciągną każdej wiosny.

W maju ciąg rozpoczyna się znacznie wcześniej od kwietniowego, bo już o godzinie 20, kiedy jest jeszcze zupełnie widno, i trwa mniej więcej pół godziny. Z początku jest duże zagęszczenie ptaków: słonki lecą jedna po drugiej, później następuje 10 minutowa przerwa, po której przeciąga jeszcze 4 — 5 słonek i zapanowuje cisza.

Specjalną uwagę pragnę zwrócić na fakt, że w późniejszym etapie wiosny (połowa maja) w ciągu bierze udział znacznie większa ilość ptaków, niż w okresie początkowym (kwiecień). Fakt ten, moim zdaniem, tłumaczy się tym, że z chwilą, gdy samice założą gniazda i rozpoczną wysiadywanie jaj, samce — pozbawione obowiązków i towarzytswa, w poszukiwaniu innych samic, rozpoczynając swe poranne i wieczorne loty i w ten sposób liczba słonek, biorących udział w ciągu, coraz więcej wzrasta. Przypuszczenie to tym bardziej wydaje się



Na ciągu. rys. T. Bełżecki.

mnie trafne, że akurat około 15 maja w gniazdach słonek znajdują się już pełne zniesienia jaj i samice przystępują do ich wylęgania. Wszystkie słonki, zabite w tym czasie, których płeć została anatomicznie zbadana przeze mnie oraz moich znajomych, w ilości około 10 sztuk, były samcami.

Zaznaczyć też pragnę, że o ile w ciągu kwietnia widuje się słonki samice, przelatujące nisko nad ziemią milczkiem, podczas gdy chrapiące i gwiżdżące samce ciągną zawsze ponad czubami drzew, to w maju samic nie spotyka się zupełnie, a wszystkie sztuki, biorące udział w ciągu, lecą wysoko i wieszczą się głosem, co wskazywało by na to, że są to wyłącznie samczyki.

Z chwilą nastania czasu ochronnego dla słonek, co dotąd miało miejsce z dniem 15 maja, stopień zainteresowania myśliwych tym ptakiem maleje niemal do zera, tak że bardzo niewielu z nich wie o tym, iż gdzieś około 15 czerwca lęgowe słonki rozpoczynają drugi ciąg (letni), który trwa do pierwszych dni lipca i swą intensywnością nie ustępuje wcale wiosennemu. Od kilku lat, rok rocznie wyjeżdżam w połowie czerwca w Góry Świętokrzyskie na obserwację słonek i mogę stwierdzić, że te drugie ciągi wyglądają wprost imponująco.

W roku 1947 na ciągu wieczornym w dniu 15 czerwca widziałem 9 słonek, a na ciągu porannym 4, zaś w dniu 17 czerwca na ciągu wieczornym 11 słonek. W roku 1948 na ciągu wieczornym w dniu 14 czerwca widziałem 10 słonek, na ciągu porannym 4. W roku 1949 na ciągu wieczornym w dniu 18 czerwca widziałem 16 słonek, na ciągu porannym 6, a w dniu 19 czerwca na ciągu wieczornym 14 sztuk, a na ciągu porannym 3 słonki. Są to spostrzeżenia z kilku zaledwie dni, jednak ilustrują one należycie fakt, że drugi ciąg słonek nie jest bynajmniej dziełem przypadku, lecz zjawiskiem stałym, powtarzającym się tutaj zawsze w tym samym okresie czasu. Było by rzeczą bardzo ciekawą stwierdzenie, kiedy ten drugi ciąg dokładnie rozpoczyna się i kiedy kończy. Myślę, że koledzy leśnicy z nadleśnictw świętokrzyskich, którzy najwięcej przebywają w lesie, poświęcą trochę czasu na obserwację i będą mogli odpowiedzieć na to pytanie, a zwłaszcza ustalić czy pomiędzy ciągiem wiosennym a letnim istnieje jakaś przerwa i jak długa, czy też słonki ciągną stale przez cały maj oraz czerwiec.

Ciąg letni, podobnie jak wiosenny, rozpoczyna się zaraz po zachodzie słońca, trwa jednak znacznie dłużej, bo około godziny, przy czym nasilenie ciągu jest jednakowe, bez zagęszczeń i bez przerw. Oprócz ptaków odzywających się, lecą także i milczące samice, a skoro w powietrznej drodze długodzioba spotka samca, ten natychmiast zaprzestaje chrapania i z przyśpieszonym gwizdem „dziks“ goni za nią, po czym oba ptaki zniżają lot i zapadają w zaroślach. Nieraz widzieć można 3 i 4 samce ściągające z różnych stron do samicy.. Wówczas ptaki gonią się i kołują w powietrzu, wyczyniając różne akrobatyczne popisy, aż wreszcie samica z wybranym siada na ziemi, a reszta samców rozlatuje się pojedynczo po okolicy w poszukiwaniu nowej towarzyszki. Przy końcu czerwca samice usuwają się z lotów wieczornych i, podobnie jak wiosną, ciągną już odtąd tylko same sztuki chrapiące — samczyki.

Ostatnio rozporządzeniem Ministra Leśnictwa z dn. 22.III.1949 r. ustalony został czas ochronny dla słonki od dnia 1 maja do 31 sierpnia, czyli skrócono polowanie na ciągu o 14 dni maja.

Jak wykazałem uprzednio, maj jest miesiącem, kiedy biorą udział w ciągu tylko samczyki, które jako nie troszczące się zupełnie o wylęganie jaj oraz opiekowanie się młodymi, mogą być bez ujmy dla hodowli łowieckiej teraz odstrzeliwane i zamykanie w tym czasie polowania na nie, nie przyniesie łowiectwu żadnej korzyści. Jeżeli zezwala się na strzelanie słonek w kwietniu, gdy widuje się dość często ciągnące milczkiem samice, zabijane bez pardonu przez mało etycznych lub nieświadomych swej winy myśliwych, jeżeli dalej dozwolone jest masowe nieraz wybijanie tych ptaków z pod wyżła czy w nagankach w czasie polowań jesiennych, gdy nie ma najmniejszej możliwości odróżnienia samca od samicy, to tym bardziej powinno się pozwolić na odstrzał słonek do 15 maja, kiedy prawdopodobieństwo zabicia samicy jest tylko problematyczne, gdyż nie bierze już ona w ciągu żadnego udziału, a ciąg powtórny rozpoczyna się dopiero w czerwcu.

Mija temu piętnaście lat... Do emerytowanego majora, mającego dobre tereny łowieckie, przyszedł gajowy i zameldował o tokach cietrzewi. Stefcia, młodziutka wnuczka majora, zawiadomiła mnie karteczką, że polowanie na cietrzewie odbędzie się jutro, i że dziadzio zaprasza i mnie.

Dziadzio, był to starzec wysoki, chudy, z olbrzymimi wąsami, którymi bardzo się szczycił i niosący na swoich barkach siedemdziesiąt lat. Kiedyś był oficerem armii carskiej i przewędrował Syberię, Tybet, Mandżurię, a nawet w wędrówce swojej zawadził i o Kanadę. Toteż opowieści myśliwskich miał bez liku. A że przy tym umiał dobierać pięknych słów, koloryzować, przeplatać humorem (a kpiarzem był nad kpiarze), przeto opowiadań jego słuchało się z otwartymi ustami. Podczas jednej z takich miłych pogadanek obiecał mi, że specjalnie dla mnie urządzi polowanie na cietrzewie.

I wreszcie nadszedł upragniony dzień. Ruszyliśmy o dziesiątej z wieczora bryczuszką i dwoma młodymi konikami. Dziadzio ze Stefcią siedli na tylnym siedzeniu, ja na opuszczonej ławeczce tyłem do woźnicy Andrzeja, również wąsatego jak major. Do miejsca polowania mieliśmy 20 km.

Był kwiecień. Wąski sierp księżyca opuszczał się na dół. Gwiazdy mrugały niestrudzenie. Wieczór otulał nas płaszczem ciepła. Konie parskały, a nawet Turek pozwalał sobie na wybryki, gdyż co chwila podnosił łeb, rżał i próbował wierzgać. Wtedy przechylał się w bryczce dziadzio i mruczał pod wąsem:

— O! Widzisz go! Szaleć mu się zachciewa.

A kiedy koń głośniej zarżał, krzyczał do woźnicy:

— Jędrzeju! A batem go i dobrze trzymać w lejcach!

Po kilku minutach konie uspokoiły się, a dziadzio rozpoczął jakieś opowiadanie o Tybecie. Nagle zaczął palcami uderzać w plecy woźnicy i krzyczeć:

— Jędrzeju! Stanąć! Stanąć! Zapomniałem!

Sądziłem, że zapomniał wziąć amunicję, lub ciepłe okrycie. Lecz on, podniósł okrywający nasze nogi koc i zwracając się do mnie rzekł:

— Wyjmuj acan nogi ze środka i kładź między moje a deski. O! Ja dobrze znam świat. Nogi czasem do nieszczęścia doprowadzają.

Ogromnie zażenowałem się i bardzo szybko przeniosłem swoje nogi we wskazane miejsce, bojąc się, by przypadkiem dziadzio nie kazał zawrócić. Lecz nie. Dziadzio był w doskonałym humorze i wnet zaczął dalej opowiadać o polowaniach.

Przed północą stanęliśmy w gajówce. W dość schludnej izbie przeczekaliśmy ze dwie godziny, drze-

STANISŁAW BARAŃSKI

Pierwszy cietrzew

miąc na rękach opartych na stole, na którego środku leżał olbrzymi bochen świeżego, pachnącego chleba.

Zbudził nas gajowy i poprowadził na miejsce odbywających się toków, gdzie były przygotowane dwie budki.

Major powiódł okiem po gwieździstym niebie, po polanie, po krzaczastych i rozrzuconych tu i tam sosenkach i cicho z powagą wydał rozkaz:

— Stefcia ze mną w tej budce, pan w tamtej. Siedzieć spokojnie, nie strzelać w środek tokowiska i do wodzireja.

Wszedłem, zasunąłem wejście gałęziami i usiadłem z bijącym sercem. Cisza dzwoniła mi w uszach tysiącami dzwoneczków. Stal luf chłodem ziębiła rozpaloną dłoń. Przez otwory między gałęziami sączyło się mruganie gwiazd.

Nagle gdzieś wysoko skowronek wbił w noc kilka taktów melodii, tak jakby kapelmistrz stuknął pałeczką w pulpit. Za chwilę z gąszczów, z nad pobliskiej strugi buchnął taki świergot ptasi, że aż gwiazdy zbladłu i z zaciekawieniem spadały w małe kałuże po dziennym deszczu. Muzyka to wznosiła się, to opadała. Czasem samiuteńkie skrzypce cieniusieńko nić radości ciągnęły lub flet wesoły z wyskokiem ciął kuranta. Przyłączył się i dzięcioł z jazzem, zamaszyście i rytmicznie wybijając takt w starodrzewiu za polaną. Gdzieś w głębi lasu puchacz ogłaszał rozkład nocnych łowów.

Wtem, niedaleko mej budki, nad muzykę przebił się akompaniament: tur, tur, tur, tururu. Dreszcz jak prąd elektryczny wstrząsnął mym ciałem. — Na pewno cietrzew — błysnęła mi myśl. Niebo na wschodzie przybierało kolor jasnego fioletu. Szukałem oczyma, lecz jeszcze nic dojrzeć nie mogłem. Nad budką posłyszałem tnący jak nożem powietrze świst skrzydeł, a z ziemi rozległ się znajomy z opowiadania głos: Czuszy-y-uk, czuszy-y-uk. Niewidzialna dłoń schwyciła mi krtań i zdławiła oddech. I od tej chwili tur, tur, tur, tururu i czuszy-y-uk otaczało mnie wkoło. Świt powoli wynurzał z mroków najpierw krzaczaste sosenki, później polanę i... wreszcie ujrzałem czarnych rycerzy.

Jest kilku, lecz coraz więcej ich przybywa. Jedne spadają z nieba, inne ciekną po ziemi drobnym i śmiesznym kroczkiem. Turniej się rozpoczął. Oto dwaj rywale szykują się do boju. Wyprężają ogony w kształt liry, zjeżają pióra, opuszczają sztywno skrzydła aż do ziemi i sycząc oznajmiają gotowość do walki. Dopadają do siebie pierś w pierś. Biją się dziobami, podskakując z trzepotem skrzydeł w górę. Lecz jeden z nich, słabszy widocznie, wycofał się z walki i chyłkiem umyka w inne miejsce. Zwycięzca pozostający na placu poczyna skakać, obracać się i tańczyć, śpiewając pieśń godową. Lecz nowy przeciwnik się zjawia. Walka rozpoczyna się na nowo, zajadlejsza niż wpierw. Groźnie trzepoczą skrzydła. Lecą na ziemię pióra wydarte szponami. Leje się krew. Przybysz został pokonany. Dwukrotny zwycięzca szaleje w miłosnej pieśni, rzuca się na nowego przeciwnika, pobija go, szuka następnego bojowo rozpuszczając podbity bielą wachlarz ogona i połyskując czarno-granatową zbroją. Dopada do mniejszego od siebie towarzysza i dziobem jak młotem wali...

Zapomniałem, że jestem na polowaniu i że trzymam strzelbę w dłoni. W chwili kiedy roztworzyłem usta, by krzykiem odpłoszyć starego zabijaka od mniejszego przeciwnika, huk strzału z sąsiedniej budki otrzeźwił mnie. Zamiast odstraszać krzykiem, podniosłem strzelbę do ramienia i w chwili kiedy ptaki rozłączyły się od siebie dla nabrania oddechu, pociągnąłem za spust. Huk odbił się sucho od starodrzewia za polaną, a trzykrotny zwycięzca legł tak cicho na murawie, jakby kto świecę zdmuchnął, która przed chwilą świeciła jasnym, wesołym płomieniem.

Dopiero teraz zauważyłem, że na rozłożystych sosenkach siedzą wystrojone w szaty o deseniach rdzawych i czarnych grochów — damy, zalotnie przekrzywiając główki. Niektóre cieciorki nie wytrzymują i schodzą między walczących rycerzy. Lekkim, powabnym kroczkiem krążą, zalotnie przekrzywiając główki z wygięciem szyi i upajająco kwocząc. Tworzą się pary. Wstydliwsze panienki prowadzą swych wybranych w pobliskie krzewy.

W oddali czuby drzew starego lasu rozgorzały szkarłatnym ogniem i wnet nad nie wychyliła się czerwona tarcza słońca. Polana zamarła w bezruchu. Oto przed chwilą ruchliwe i wojownicze ptaki stanęły w kornej postawie i niemym zachwycie. Cisza. Szabas...

Lecz za chwilę ciepłe promienie słoneczne, ogrzewając ziemię, wzbudziły nową pobudliwość do walki w sercach rywali. Turniej trwa dalej...

*

Drżącymi rękoma podnosiłem z ziemi mego cietrzewia. Czarna szata połyskiwała.

— Ale wielki — rzekł nadchodząc major.

— Co za lira! a róża! Ha! Ha! — dziwował się.

— Ale i Stefcia ma ładnego —

Długo oglądaliśmy ze Stefcią swoje trofea i opowiadaliśmy wrażenia, aż zniecierpliwiony dziadzio odszedł w stronę gajówki. Za małą chwilę i my ruszyliśmy, przewiesiwszy przez piersi strzelby. Śmiech głośny co chwila okraszał naszą rozmowę.

Dziadzio czekał na progu gajówki, a słysząc nasz śmiech zaczął gderać, chcąc prawdopodobnie trochę pokpić ze mnie.

— Gdybyś acan nawet jak mój Turek rżał, co na pół łokcia dół kopytem w nocy wybił, to i tak nogi będziesz wiózł przy desce.

Stefcia zniżyła z zakłopotaniem głowę, a ja doszedłszy do majora rzekłem: — Nie mam słów na wyrażenie podziękowania panu majorowi za umożliwienie mi przeżycia tak pięknych wrażeń, które bardzo głęboko wryły mi się w pamięć. — Oczywiście, że całą orację wymawiałem z wielką powagą, choć śmiech z powodu moich nóg łechtał mnie ogromnie.

Dziadzio spojrzał w oczy i podał mi drżącą rękę. Uścisnąłem ją z prawdziwą serdecznością.

— Stefciu! — odezwał się major wchodząc do izby gajówki — a podaj no moją torbę.

Skoczyłem ja, by chociaż dotknąć torby myśliwskiej (z kanadyjskiego borsuka — jak mawiał dziadzio) i podałem ją z wielkim namaszczeniem. Major ją rozpiął i z wnętrza jej wyciągnął butelkę wiśniaku i i gruby z kryształu kieliszek. Napełnił go szkarłatnym płynem, podniósł do góry, aż słońce wpadające przez okno zaiskrzyło się w płynie i w szkle tysiącem gwiazd, przyjrzał się czerwieni i z powagą wzniósł toast:

— Za zdrowie młodego myśliwego!

Byłem ogromnie zadowolony.

*

Siadając do bryczki chciałem nogi swe umieścić między dziadzią a deską. Lecz dziadzio robiąc miejsce w środku zawyrokował:

— Krzywe siedzenie może spowodować zapadnięcie na ischias. Umieszczaj acan nogi w środku.

Konie rwały z kopyta. Na niebie kolebało się wiośniane słońce, a z óczu Stefci patrzyły kiście świeżo rozkwitłej przydrożnej jabłoni. Głowa dziadzi opadła na piersi i kołysała się w takt, podskakującej po wybojach bryczki.

ANTONI T. MALIŃSKI

Cietrzew

Biedna jest opoczyńska ziemia. Ciężki i trudny kęs chleba, wydarty jałowej glebie. Zwierz tu mniej liczny niż w innych powiatach, lasy zniszczone, przy drogach leżą resztki sprzętu „niezwyciężonej“ niemieckiej armady, w olchowych smugach nierzadko spotkasz jeszcze działo czy czołg — przypomnienie minionej wojny.

Innego oblicza nabiera ta sama ziemia dla myśliwego wiosną, gdy w zniszczonych młodnikach, na rudych, pokrytych wrzosem haliznach, w chłopskich „niedociętych“ laskach, na smugach błyszczących szybkami jeziorek, poprzerastanych olchą, świerkiem i brzeziną, odezwie się on „ciećwierz“.

W kwietniu 1948 roku otrzymałem zaproszenie od kolegi Stanisława B. na toki w lasach poplaterowskich koło Opoczna. „Toki w całej pełni, pogoda wyśmienita, przyjeżdżaj“.

Spotkanie nastąpiło w Opocznie. Krótkie przywitanie i jedziemy we trójkę, bo prócz Stasia jest z nami kolega C. Kolega ów po raz pierwszy jedzie na toki i odczuwa już z góry sporą emocję.

O parę kilometrów za miastem skręcamy w lasy platerowskie. Jest to raczej wspomnienie lasów. Dziki gąszcz sosny, świerka, olchy i brzozy, gęsto przetkany wrzosem i paprocią. Zniszczona i połamana drągowizna, gołe polanki, długie smugi pełne bajorek. Przy drodze spalone chaty, resztki aut i rozmaitego niemieckiego żelastwa: wspomnienia partyzantki i niemieckiego odwetu. Teren pagórkowaty. Motocykl z trudem przebija się przez leśne dróżki.

Jedziemy do „Kostka“. Stary to raubszyc i partyzant, choć wiekiem młody. Pokazuje z dumą nową, porządną chatę, odbudowaną po spaleniu, z emocją ogląda nasze strzelby. Trochę stolarz, trochę były kłusownik, opowiada o utarczkach z Niemcami, o licznej kiedyś tu zwierzynie, o kogutach.

Że do wieczora jeszcze chwila, Stasio proponuje spróbować ciągu słonek. Blisko zagubionej w gąszczu chaty Kostka stajemy na drewnianym mostku, między dwoma olchowymi smugami. Słońce zaszło. Roje komarów dzwonią cichutko. W głębi lasu czuszyka jeden, drugi cietrzew. Daleko gra inny. Ciemny cień ptaka wolnym lotem przewija się nad drogą. Kworr... kworr.. pst... Kolega C. nie strzela, mimo że słonka przelatuje tuż nad nim — nie poznał jej. Oddaje strzelbę Kostkowi, sam sobie nie wierząc. Ciągnie druga. Łomot! Jest! Oglądamy ciekawie ptaka. W drodze powrotnej Stasio opowiada swoje przeżycia, kiedy to ukrywał się u Kostka. Ten znowu przypomina, jak Stasio złapał go ze strzelbą w lesie przed wojną.

O wpół do drugiej w nocy budzi nas cichy głos Kostka. „Panowie!... pora...“ Wstajemy szybko.

Las śpi. Duże świerki ocalałe z pogromu stoją gdzieniegdzie na straży, roztaczając opiekuńcze ramiona nad czeredą młodych, splątanych drzewek. Jest zimno, rosa obfita. Wychodzimy z lasu, idziemy w liche poletka, poprzedzane ugorami, pomiędzy lasem.

Budki stoją na miedzach. Pólka żyta są szczupłe, mniejsze niż się z początku zdawało. Wygląda to tak, jakby las przeskoczył pasek ziemi, stając się dalej jeszcze mniejszym i bardziej zniszczonym. Przed zajęciem budek umawiamy się, że po wschodzie słońca i ewentualnych strzałach każdy polować będzie na własną rękę. Stasio wraca do domu, gdyż przypomniał mu się dawny, partyzancki reumatyzm. My zasiadamy w budkach.

Wycinam jedno, drugie okienko w ścianach. Jest zimno, bardzo zimno. Nic nie zwiastuje jeszcze świtu. Drugi maj a chłód jak w marcu. Gdzieś od Białaczowa słychać pociąg. Niebo na wschodzie leciutko szarzeje. Z nad wydm piaskowych jękliwym głosem odezwał się kulon. W życie przede mną ćwierknął nieśmiało skowronek.

Na łąkach odezwały się czajki.

I w tej chwili z silnym łopotem zapadł koło mnie cietrzew, za chwilę drugi. Z tyłu w lesie słychać czuszykanie kilku innych. Skowronek podrywa się nade mną, dzwoniąc przedwcześnie powitanie dnia. Znowu łopot. Cienie, ledwo widoczne po zapadnięciu, zlewają się z ziemią. I znowu cisza.

— Uspokój się serce, uspokój! — Pulsowanie własnego tętna dźwięczy jak młot. O parę kroków na miedzy coś się czerni. Kretowina? Kamień? Nie to — on! Ale ani drgnie. Nagle czarna figurka podrywa się i o radości! zaczyna grać. Stary to widać zawadiaka, bo pieśń idzie za pieśnią. Z boku słyszę tłukące się ptaki, lecz przeklęte żyto nie pozwala ich zobaczyć. Też, psiakrew, moda tokować w życie!

Widnieje coraz lepiej. Widzę z dala na ugorze ze sześć tokujących zawzięcie kogutów, w życie — dwa, z boku — jeden. Ładna porcja! Czarny zapaśnik, tokujący o 5 metrów ode mnie, peszy mnie. Nad lasem przelatuje szybko kogut, zapada na brzozie i gra. Jest czwarta piętnaście.

Z lewej strony strzał! Trzy koguty podrywają się pospiesznie. Reszta milknie, lecz zostaje. Sąsiad z miedzy podrywa się, by zapaść przy trójce rywali. Pięć, dziesięć minut ciszy. Słychać z lasu ciche pak, pak, pakpak, pau... cieciorki. Jakby kij wsadził w mrowisko! Dwa koguty podnoszą się w stronę brzózek, gdzie odezwała się oblubienica. Reszta wiruje jak marjonetki, gra zawzięcie.

Pomalutku centymetr za centymetrem zmieniam pozycję. Czarni rycerze grają po lewej ręce. Muszę się przesunąć, gdyż sam strzelam tylko z lewej ręki. Odległość znaczna. Lecz znowu może ktoś strzeli i zabawa się skończy.

Jeden z kogutów, co chwila podfruwając, zbliżył się nieco do mej budki. Jeszcze chwila. Bach! Zawadiaka trzepie się w agonii. Reszta znika. Więcej kogutów nie widać. Z dala tylko słychać grę i czuszykanie. Wstaję, z przyjemnością rozprostowując zdrętwiałe członki. Z lubością przeciągam się na słońcu.

Podnoszę mego koguta. Szafirowy połysk rozlewa się po całym grzbiecie. Lira wygięta, róże ogromne. Stary ćwik.

Próbuję jeszcze podchodzić inne. Zadziwiające jak głos myli w lesie. Cietrzewie winny być tuż, a tymczasem tokują na chłopskich pólkach z drugiej strony lasu. Podchód nie daje rezultatu. Przechodząc z jednego smugu w drugi przez gęsty olcho-brzeźniak, wypłaszam z kępy cieciorkę. Jest i gniazdo z jajkami. Gniazdo na kępie śród małych sosenek. Jajka podobne do perliczych. Nie ruszam gniazda, wracam do domu. W mieszkaniu są już wszyscy. Opowiadaniom niema końca. — Żegnajcie „Ciećwierze“!



JANUSZ SCHNEIDER

rys. O. Kokes

Bezkrwawe łowy

Zadziwił się szarak w kotlinie, usłyszawszy idących gromadnie ludzi na przełaj przez pole. Ale uprzytomniwszy sobie, że to już 17 stycznia przycupnął, ufny w szybkość swych skoków. Tymczasem ludzie, w liczbie około 50, dziwne majstrowali płoty. Przed tym jeden z nich ze wzgórza przejrzał okolice lornetką, następnie ustawił ludzi w dwuszeregu, wyznaczył dwie partie naganiaczy, 12 chwytaczy i jednego palikowego. Po dokonaniu tej czynności wskazał ręką kierunek odległych drzew i akt pierwszy rozpoczął się.

Chłopcy z naręczami palików szli we wskazanym kierunku, stąpając równymi krokami i co szesnaście kroków wbijali mocnym uderzeniem okuty palik, wysokości półtora metra. Za nimi postępowali inni, wyglądający jak żywe szpulki, okręceni 100-metrami sieci, składającej się z dwóch odcinków, splecionych ściśle linkami, o szerokości 2 metrów. Żywe szpulki odkręcały się zabawnie, a sieć opadała tuż koło palików. Robota posuwała się szybko. Palikowy kroczył z młotem w ręku, pobijał ustawione drążki, a chwytacze, każdy na swym odcinku długości 70 metrów, wiązali rozwinięte sieci. Następnie naciągając obie linki osadzali górną na wierzchu stojącego palika po przeciwległej stronie zamierzonego pędzenia.

Przygotowania dobiegały końca. Skrzydłowi ściszonym głosem zbierali po obu stronach sieci swe partie naganiaczy i wyznaczali kolejność idących na przemian, wysyłając to starszego, to młodszego i polecając jednocześnie przestrzegania równej linii.

Ruszyli, okalając sieci ruchomym łańcuchem. W tym czasie na linii sieci ustał ruch zupełnie. Widać było jedynie szereg postaci, leżących na brzuchu o 15 do 20 kroków przed siecią od strony pędzenia, w zamaskowaniu rowów, bruzd, drzew lub wiązki słomy, uszczkniętej z pobliskiej sterty. Kierownik ekipy z wierzchołka sterty lustrował już plac boju.

Poderwały się zaniepokojone szaraki i wolno kicając zbiegały w środek żywego półkola, raz po raz elektryzowane okrzykami „a niee— daaaj, trzyyy — maaaaj-‘.

Pierścień ludzi zacieśniał się powoli. Żwawiej od kotek poruszały się gachy, a nie zdoławszy przebić ludzkiego kordonu, pięły się w awangardzie po pochyłości terenu w stronę sieci, nie dostrzegając w tej stronie nikogo. Lecz cóż to za nieoczekiwana przeszkoda? Nasz szarak nie zdążył jednak zastanowić się, gdy z ukrycia wypadł leniwonogi człowiek. Uciec! Przeszkoda nie wygląda groźnie.

Matnia sieci wyprężyła się pod uderzeniem tuszy rulującego szaraka. Z palika opadła linka i legła tuż obok drugiej, leżącej na ziemi. Szamocąc oplątał się jeniec sznurkami i znieruchomiał. Już dopadł go chwytacz, stanął na dolnej lince nogą, a jednocześnie, trzymając lewą reką za skoki zająca, prawą uniósł górną linkę i założył ją sobie na ramię. Teraz bez trudu obiema rękami wysupłał kniaziącego jak skrzywdzone dziecko, kota, uniósł za skoki i wsunął do czeluści worka.

Jeńcy—zające, po stwierdzeniu ich płci, wędrują do klatek, umieszczonych na podwodzie. Klatki na tak zwane komplety, składają się z trzech przegród, gdzie środkową zajmuje gach, po bokach zaś dwie jego partnerki. W nagrodę za niemiły pobyt w niewoli w klatce czeka soczysta marchewka, burak lub brukiew. Do tej uczty zając zabiera się niezwłocznie z wielką ochotą. Ostatnim niemiłym etapem jest przewiezienie kompletu zajęcy do miejsca przeznaczenia.

W miejscu przeznaczenia szaraki odzyskują ku swemu zdziwieniu upragnioną wolność. Klatki, tak niemiłosiernie do tej pory paraliżujące wolność, zostają wyniesione w teren o zmierzchu i otwarte. Szarak nie wierzy własnym trzeszczom. Po chwili jednak z nieufnością wychyla się, a stwierdziwszy, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo, czmycha w kierunku najbliższych zarośli, które dadzą mu schronienie.

Odświeżanie krwi w łowiskach jest niezbędne, by przez regenerację pokolenia skrzyżowanego z egzemplarzami przywiezionymi, podnieść nie tylko płodność zajęcy, ale uzyskać odporność na choroby, na zmienne warunki klimatyczne i otrzymać egzemplarze silne, zdrowe i pięknie wyrośnięte.

Zagraniczni myśliwi hodowcy, doceniając celowość odświeżania krwi w łowiskach, zakupują u nas zwierzynę żywą w celach repopulacji i regeneracji. Kraj nasz, dzięki eksportowi zwierzyny, wzbogaca się, zdobywając tak cenne dla nas dewizy.

Połów kuropatw w Czechosłowacji:



Inż. T. PASŁAWSKI

Po sezonie

Po skończonym sezonie polowań na zające warto zastanowić się nieco nad spostrzeżeniami i wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski, aby już teraz szukać sposobów i dróg do poprawy sytuacji w sezonie następnym.

A więc: 1 — Sezon ubiegły wykazał ogromną skalę stanu ilościowego zajęcy. Znane są wypadki, że na terenach leśnych jednakowo zasobnych w zwierzynę przed wojną i o jednakowym stopniu zdewastowania zwierzostanu, na polowaniach w sezonie ubiegłym, przy tej samej ilości strzelb, w jednym wypadku padało ponad 100 zajęcy, w innym 3 — 7 szt.

Nie jakość gleby i drzewostanu jest przyczyną tych ogromnych różnic (czego dowodzi jednakowy stan zajęcy przed wojną) i nie panująca w danym dniu pogoda, jak chcą niektórzy, jest przyczyną braku zajęcy, a tylko i wyłącznie stopień opieki nad terenem w rozumieniu ochrony i hodowli zwierzyny oraz sposobów polowanio na nią.

Musimy przyznać się, że zarówno wiele Kółek Myśliwskich jak i Administracja Lasów Państwowych niewiele lub zgoła nic nie robią dla poprawy zwierzostanu. Brałem udział w sezonie ubiegłym w kilkunastu polowaniach leśnych i nie widziałem, prócz jednego wypadku, nawet śladu opieki nad zwierzyną, zarówno na terenach dzierżawionych jak i administracyjnych. Widziałem natomiast w jednym dniu w czasie polowania na lisy: 1. zająca wypuszczonego z wnyka przez myśliwych, 2) lisa zatłuczonego przez nagankę kijami, bo złapał się we wnyk idąc na linię myśliwych 3) myśliwego złapanego we wnyk za nogę. Jak na jeden dzień dość. Nic więc dziwnego, że przez cały ten dzień widziano w kniei 6 (sześć) zajęcy. Byłem na polowaniu, w czasie którego niemal z każdego miotu wychodził pies, jeśli nie dwa lub trzy.

Wszyscy lubimy tłumaczyć mizerny rozkład nieodpowiednią pogodą (w nocy padał deszcz, silny wiatr, albo znów niema wiatru, jest silny mróz, albo znów niema mrozu itd., zależnie od okoliczności), oraz wyniszczenia zwierzyny przez okres wojenny i powojenny, ale nie słyszałem ani razu, aby było jasno powiedziane: brak jest zwierzyny, bo nic nie zrobiliśmy dla jej rozmnoży.

Z tych względów proponuję: ustalenie zasady przez Władze Naczelne PZŁ, że Kółka Łowieckie, które nie wykażą się w roku 1950 pracą w zakresie ochrony i hodowli zwierzyny na terenach dzierżawionych, ulegną przymusowej likwidacji. Z drugiej znów strony Władze Leśne należały zobowiązać, aby w wypadkach jaskrawego braku ochrony, wyciągały jaknajsurowsze konsekwencje w stosunku do funkcjonariuszy terenowych, do obowiązków, których ochrona zwierzyny należy, oraz zapewnienie jednostkom terenowym odpowiednich kredytów na dożywianie i ochronę zwierzyny z jednoczesnym dopilnowaniem należytego wykorzystania tych kredytów.

2 — Istnieją, ustalone przez Władze Naczelne PZŁ zasady polowań na zające: a) wolno polować tylko jeden raz na danym terenie z obowiązkiem pozostawienia 1/3 powierzchni nieopolowanej i b) jeśli się poluje (wyjątkowo) w kotły to nie więcej jak 20 myśliwych i nie mniej jak dwu naganiaczy na 1 myśliwego. Kto z Kolegów nie spotkał się z przekroczeniem tych zasad — proszę podnieść rękę — „lasu rąk" nie widzę.

Byłem świadkiem jak na miejsce zbiórki zgłosiło się 11 myśliwych i 1 (jeden) syn myśliwego w charakterze naganiacza. Łowczy Kółka, organizującego polowanie w polu, usiłuje tłumaczyć, że nikt nie chce przyjść do naganki. Na energiczną interwencję okazało się, że byli chętnie i zgłosili się, trzeba tylko było ich wezwać. Dla ukoronowania „imprezy" po skończonym polowaniu, jeden z uczestników oświadczył że on za nagankę nie płaci „bo naganka nie była mi potrzebna". Takich i podobnych polowań odbyło się, niestety, wiele, a uczestnicy są do dnia dzisiejszego przekonani, że polowali prawidłowo, bo przecie „w kotły wolno". Również wiele terenów zostało opolowanych nietylko w całości, ale nawet dwu- lub trzykrotnie, „bo to pierwsze polowanie było w czasie deszczu, koty, panie dobrodzieju, szły do tyłu, prawie nic nie padło, to tak jakby wogóle nie opolowane".

Nie wątpię, że w wielu wypadkach dzieje się tak dlatego, że fakty takie nie są znane miejscowym Władzom PZŁ, co jest jeszcze jednym argumentem przemawiającym za proponowanym już przeze mnie, połączeniem stanowisk Łowczych Kółkowych z Podłowczymi Powiatowymi. Bywa jednak, jak się zdaje, i inaczej. Słyszałem tłumaczenie słabego wyniku polowania leśnego tym, że sąsiednie tereny polne zostały opolowane trzykrotnie. Na zwróconą uwagę, że należy o tym zawiadomić Łowczego Powiatowego okazało się, że Łowczy o tym doskonale wie, bo sam właśnie należy do Kółka, które dzierżawi te tereny. Kiedy indziej dotarła do mnie wiadomość, że poważne Towarzystwo Łowieckie w pewnym wojewódzkim mieście zorganizowało polowanie w kotły na 28 strzelb przy udziale 28 naganiaczy, a polowanie to było prowadzone przez Łowczego, będącego V-Prezesem Wojewódzkiej Rady Łowczej. Nie miałem możliwości sprawdzenia ścisłego wiarygodności tych informacji i chcę wierzyć, że są to plotki, ale sam fakt powtarzania tych wiadomości jako zupełnie normalnych przez Kolegów Myśliwych i uważanie takich wypadków za możliwe, świadczy, że wśród części członków PZŁ łamanie przepisów znajduje łatwe usprawiedliwienie i rozgrzeszenie.

Z tych względów proponuję: Ustalone przez Władze PZŁ zasady polowań na zające wprowadzić do Prawa Łowieckiego, a gdyby to było niemożliwe, obwarować uchwały PZŁ surowymi i wyraźnymi sankcjami karnymi w stosunku do członków PZŁ, oraz zobowiązać Władze Leśne do pouczenia funkcjonariuszy terenowych lasów państwowych o obowiązujących zasadach i do karania winnych przekroczenia tych zasad. Skoro bowiem zawodzi liczenie na poczucie konieczności przestrzegania poleceń Władz PZŁ — przez „wybranych z pośród wybranych", tych, którzy stoją na świeczniku i mają nam świecić przykładem, czegóż można wymagać od nas maluczkich.

MACIEJ GABAŁA

Drop duży

(OTIS TARDA)

W numerze 11 z listopada 1949 roku Łowca Polskiego umieszczony został artykuł kolegi inż. Czesława Hincza pod tytułem „Dropie w Poznańskim“.

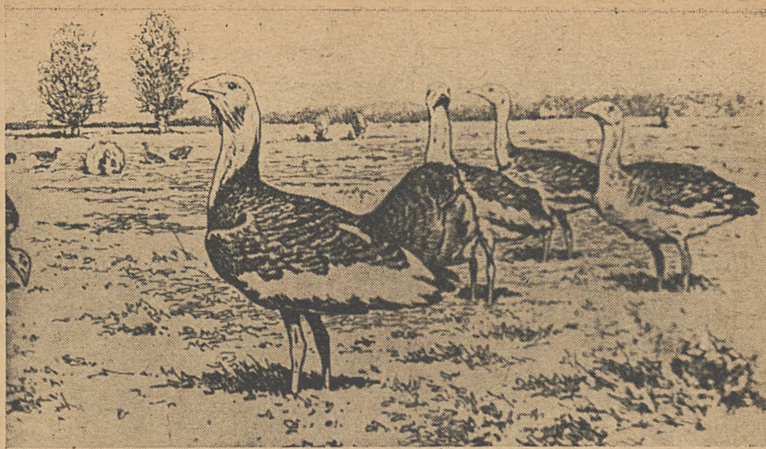
Na marginesie powyższego artykułu czuję się w obowiązku poinformować Kolegów, że i w województwie szczecińskim drop ma swoją ostoję i, choć nielicznie, nadal tu występuje.

Według źródeł niemieckich krótko przed wojną na obszarze Ziem Odzyskanych znajdowało się około 400 sztuk dropi.

Z tej ilości w województwie szczecińskim 142 sztuki, a to w powiatach: Chojna — 30 sztuk, Myślibórz — 87 sztuk, Choszczno — 25 sztuk.

W przyległym do powiatu myśliborskiego powiecie gorzowskim (województwo poznańskie) dropi było 25 sztuk, a w dwóch dalszych powiatach (na południe od rzeki Warty) 210 sztuk.

Znacznie lepiej przedstawia się stan dropi na zachód od rzeki Odry (w Niemczech), bo na stosunkowo małym obszarze (około 30.000 km²) pomiędzy rzeką Odrą a Łabą naliczono 2.600 dropi, z czego większość znajdowała się w prowincji Brandenburg — w powiecie Ost-Havelland — aż 500 sztuk (tuż na zachód od m. Berlina), w przyległym od północy powiecie Ruppin 384 sztuki, a nieco na północny wschód w powiecie Prenzlau 483 sztuki.



Dropie na Ziemiach Zachodnich.

W pozostałej części Rzeszy Niemieckiej — na zachód od rzeki Łaby i dalej na południe drop duży nie występował.

Obecny stan ilościowy dropi w województwie szczecińskim nie został jeszcze ściśle ustalony. Podaję jednak obserwacje dorywcze.

W 1947 roku widziałem w powiecie myśliborskim stado dropi liczące około 30 sztuk. W 1948 r. na granicy powiatu myśliborskiego i choszczańskiego kol. Cz. D. podchodził dropie, których stado liczyło ponad 20 sztuk. W 1949 r. kol. P., polując w powiecie pyrzyckim, zaalarmowany został przez wyrostka wiadomością, że w krzakach znajdują się jakieś „duże ptaki“. Koledze przy wykorzystaniu zasłon udało się wyjątkowo blisko podejść i naliczyć 12 dropi. W 1947/48 r. kolega R. widział większe stado dropi w południowo-wschodniej części powiatu stargardzkiego tuż przy granicy powiatu choszczyńskiego. Również inni koledzy sygnalizowali dropie, szczególnie z trzech powiatów — choszczańskiego, myśliborskiego i chojeńskiego.

Dropie w okresie zimy żyją w gromadach. W miesiącu kwietniu rozpoczynają się toki kogutów.

Przytaczam poniżej fragment z opisu toków przez H. Siewerta:

„Noce w drugiej połowie kwietnia mogą być jeszcze często zimne. Gdy jednak z rana słońce zaczyna mroki nocy rozpraszać, na równinie, którą wzrok ogarnia, w bliższej i dalszej odległości widać większą ilość białych, nieruchomych punktów.

Po dokładnym wpatrzeniu spostrzega się, że białe, rzekomo nieruchome punkty, zaczynają się poruszać — widać ich drżenie, chwilami kiwanie, a chwilami poruszanie się do przodu i do tyłu, by potem zatrzymać się nieruchomo na poprzednim miejscu.

W pewnym momencie biały punkt gaśnie jak światło lampy, by po krótkim czasie w innym miejscu zaświecić się.

Z przypływem światła na ziemię zaczyna w dziwne te postacie wstępować coraz to więcej życia.

Gromadka kur, która w ciemności nocy zwarto i nieruchomo stała, z nastaniem świtu jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaczyna się ożywiać i po pewnym czasie rusza w obranym kierunku z głowami podniesionymi. W pewnym momencie jakby na komendę zaczynają się głowy kur w takt robionych przez nich kroków kiwać, a z gardła wydobywają się nosowe dźwięki „Och! Och!“.

Potem kury przyśpieszają kroku, idą coraz szybciej i zaczynają szukać pokarmu.

Wkrótce wśród kur spostrzega się wpierw jeden, potem więcej białych punktów — to wachlarze kogutów.

Jeżeli stare koguty potrafią całość upierzenia wspaniale zaprezentować i ich ruchy szczególnie do tyłu są z pełną gracją i namiętnością wykonane, to u młodych kogutów spostrzega się brak umiejętności tak w rozwinięciu upierzenia, jak i w wykonaniu ruchów.

Jeden z młodych kogutów w groteskowy sposób przebiera grubymi nogami bez ruszenia się z miejsca.

PO SEZONIE
(dokończenie)

Podane projekty niewątpliwie nie są najlepszym wyjściem z sytuacji i nie mają do tego pretensji, chodzi mi o wywołanie dyskusji, o zwrócenie uwagi na poruszone zagadnienia i pobudzenie do szukania dróg, któreby radykalnie zmieniły obecny stan rzeczy — liczenie bowiem na to, że wzrastający w wielu wypadkach stan ilościowy zwierzyny „sam dojdzie do odpowiedniego poziomu“, często kończy się katastrofą, a w każdym wypadku znacznie opóźni rozwój gospodarki łowieckiej.

Korpus jego kiwa się to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby wiatrem poruszany, reszta młodych kogutów w groteskowych postawach i z wyciągniętymi szyjami z wielką ciekawością przygląda się odprawianej ceremonii do chwili, gdy jeden z podnieconych kogutów dopada upatrzonej przez siebie kury i ją pokrywa.

Po akcie całe stado rusza w kierunku jednego ze starych kogutów, który w pełni rozwiniętych kras swego upierzenia, drżący i okazały świeci w słońcu jak przepiękny wachlarz, prezentując się ciekawie przyglądającej mu się gromadzie.

Gdy jednak jeden z młodych kogutów dochodzi do niego zbyt blisko, stary kogut groźnie z wyciągniętą szyją i kiwającą głową w tanecznych podskokach kieruje się ku śmiałkowi i wyraża swe niezadowolenie, tak, że śmiałek co rychlej się wycofuje. Całe towarzystwo idzie za nim, formując się w rząd, przyspiesza kroku coraz szybciej przeciw porannemu wiatrowi, by wreszcie wznieść się w powietrze i na wybranym miejscu opaść. Gardłowo-nosowe dźwięki wydobywane z otwartych dziobów podczas biegu i w czasie lotu w porannej ciszy słychać donośnie na dłuższe odległości.

Stare koguty z przerwami tokują do godziny 9, po czym następuje odpoczynek, pożywienie i czyszczenie upierzenia. Około godziny 16 zaczynają się wieczorne toki, które trwają do zmroku."

Jeżeli w okresie toków w czasie wędrówki spotkają się dwa równowartościowe koguty, to często przychodzi między nimi do zaciętej walki.

Główną bronią dropia jest silny dziób. W walce tak napastnik jak i obrońca stara się wgryźć w szyję przeciwnika. Jeżeli się to udało, to koguty ciągają się i pchają z nastroszonym upierzeniem i starają się silnymi nogami jeden drugiego przydusić do ziemi. Zaciętość i nieustępliwość w walce jest tak wielka, że często walka trwa do zupełnego wyczerpania jednego z przeciwników.

Również w czasie walki te nadzwyczaj ostrożne ptaki zapominają o podstawowych zasadach ostrożności i często padają z ręki człowieka. (K. opisuje wypadek jak jeździec z konia zabił harapem dwa walczące koguty).

Drop duży (Otis tarda), to największy europejski ptak lądowy. Drop duży zamieszkuje stepy i otwarte pola. W Europie najliczniej występuje na równinach węgierskich i stepach południowych ziem Związku Radzieckiego. Długość dorosłego dropia wynosi około 1 m. Kolor upierzenia dropi: głowa i pierś jasno-popielata, szyja rdzawa, plecy czarne na tle żółtordzawym, w skrzydłach pióra koloru białego, szarego i czarnego.

Mimo ociężałego wyglądu, dropie poruszają się lekko i latają wprawdzie nie szybko, ale bardzo wytrwale. Drop, by się wznieść w powietrze potrzebuje dłuższego rozbiegu — znacznie większego niż bocian.

Kogut osiągnąć może wagę do 16 kg. (według Krawczyńskiego nawet do 18 kg). Kura osiąga wagę do 6 kg (według Krawczyńskiego połowę wagi koguta). Jest to bodaj największa różnica w wadze pomiędzy kogutem, a kurą spośród ptaków żyjących na kuli ziemskiej.

Toki kogutów w województwie szczecińskim rozpoczynają się przeważnie w drugiej połowie kwietnia. Kura składa w zasadzie dwa jaja 8 cm długie, o średnicy w przekroju poprzecznym — 6 cm, koloru oliwkowo-brązowego, upstrzone zielono-brązowymi centkami. Wysiadywanie jaj przez kurę trwa około 23 dni. Wylęg następuje w miesiącu czerwcu.

Młode dropie żywią się owadami i robakami.

Pożywienie starych dropi składa się z przeważającej części z zielonych roślin, ziarna, z robaków, owadów, żab i myszy. Ulubioną potrawą dropi są liście zielonego rzepaku i kapusty.

Mięso młodych dropi dobrze przyrządzone jest smaczne — starych dropi, szczególnie kogutów, nienadzwyczajne. (Kolega P. ze Szczecina, który w 1945 roku kupił od żołnierza ubitego, starego dropia, utrzymuje, że mimo braku mięsa w tym czasie w Szczecinie, z trudem przełykał kęski upieczonego przez żonę dropia, natomiast żona jego przyrządzonej przez siebie pieczeni nie chciała nawet skosztować, bowiem odstręczał ją od tego zapach).

Drop nie lubi zmieniać miejsca pobytu chyba, że go warunki do tego zmuszają.

Mimo wyjątkowej ostrożności i nieufności, dropie w ostrych zimach podchodzą do zabudowań ludzkich, i tak w roku 1928/29 i 1947/48, gdy zimy były wyjątkowo ostre, pewna ilość dropi nie tylko zginęła z głodu, ale i z rąk wieśniaków.

Problem zwiększenia pogłowia dropi jest dość trudny, bowiem drop powoli się rozmnaża, a prócz tego na skutek późnego wylęgu, dużo gniazd z jajami przy maszynowej obróbce ziemi i koszeniu łąk ulega zniszczeniu. Również nawozy sztuczne i wykładanie trucizn na szkodniki polne powodują znaczne straty w pogłowiu dropi.

Odnośnie jednożeństwa i wielożeństwa drogi kogutów, zdania są podzielone. Profesor Leeder stanowczo twierdzi, że młode koguty posiadają tylko jedną samicę, natomiast stare koguty często więcej. Tezę powyższą potwierdza cały szereg innych obserwatorów dropi, jak też i fakt, że koguty nie troszczą się o wylęg i o młode. Polska ustawa łowiecka chroni dropie przez cały rok, ale czy jest to wystarczające, by uchronić tego rzadkiego ptaka od zagłady?

Moim zdaniem konieczne jest, by tak orzeł morski (Haliaetus albicilla - Lin) (patrz art. mój „Orły nad Bałtykiem", Łowiec Polski styczeń — luty 1949) jak i drop potraktowane zostały jako zabytki żywej przyrody, i by w czytankach dla dzieci i w prasie były odpowiednie wzmianki, uświadamiające o konieczności zachowania na ziemiach polskich tych tak już rzadkich ptaków.

Maciej Gabała

Zając na dom łowiecki

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego, odbyte dnia 14 kwietnia 1949 r. w Warszawie, powzięło uchwałę nakładającą na wszystkich członków PZŁ, posiadających zezwolenia na broń myśliwską, obowiązek składania w ciągu 3 lat po jednym zającu na Fundusz Budowy Domu Łowieckiego. Uchwała ta ma za zadanie zgromadzenie potrzebnej ilości gotówki w sposób pomysłowy, nie obciążający specjalnie ogółu myśliwych, gdyż każdy z nas przeważnie musi rozdać w sezonie, krewnym lub dobrym znajomym kilka, a nawet i więcej szaraków, więc ten jeszcze jeden — na Dom Łowiecki — nikogo nie przeraził.

Zgodnie z uchwałą, zające mają być składane Spółdzielni „Jedność Łowiecka", która równowartość ich w sumie 600 zł za sztukę przekazuje Polskiemu Związkowi Łowieckiemu. Otrzymane od członków szaraki przeznaczane są na eksport za granicę lub na rynek wewnętrzny.

Jak widzimy z powyższego, pomysł realizacji budowy Domu Łowieckiego był dobry i zdawało by się, że strona techniczna jego wykonania nie budziła specjalnych zastrzeżeń. Jednak obecnie, po zakończonym sezonie zajęczym i rocznym doświadczeniu, nasuwa się kilka uwag krytycznych, które poniżej omówię. by w dalszych latach można już było tych błędów uniknąć, a przez to usprawnić całą akcję składania zajęcy.

Spółdzielnia „Jedność Łowiecka", płacąc za zająca Polskiemu Związkowi Łowieckiemu 600 zł. stawia ogromne wymagania w stosunku do przyjmowanych sztuk. Ma to być towar eksportowy odpowiedniej wagi, czysty, nie pokrwawiony i nie zabłocony, nie może mieć strzaskanych skoków, wydartej turzycy i zniszczonych słuchów, słowem musi to być zając, jaki w czasie łowów trafia się jeden na dziesięć, a samo przetransportowanie go w tak „nieskazitelnym" stanie z terenu polowania do oddziału Spółdzielni pociąga za sobą szereg różnorodnych zabiegów i przedstawia duże trudności.

Rozumiem, że wymagania odbiorców zagranicznych są duże i zmuszają „Jedność Łowiecką", jako eksportera, do ostrej selekcji towaru, ale zachodzi pytanie, czy właśnie te sztuki, składane na Fundusz Budowy Domu Łowieckiego, muszą być wyłącznie zającami eksportowymi? Przecież spółdzielnia zakupuje dziesiątki tysięcy zajęcy, z których wybiera odpowiednie do wysyłki zagranicę, bez oglądania się w rezultacie na te, które złożą myśliwi bezpłatnie. Dlaczego więc stawiało się tak ostre wymagania zającom składanym przez myśliwych?

Trzeba zdawać sobie sprawę, że społeczeństwo nasze jest słabo zdyscyplinowane i jeżeli ktoś z wiejskich myśliwych, którzy nota bene nie wiele zazwyczaj zajęcy zabijają rocznie, przychodzi z tym szarakiem do Spółdzielni, to nie należało by dyskwalifikować mu zająca, gdyż postępowanie takie zniechęca tylko członków, którzy dopatrując się w tym szykany, lub nieuzasadnionego kaprysu, stają się oporni przy wszelkich innych poczynaniach PZŁ. Może się zdarzyć, że ktoś przyniesie zwierzynę naprawdę nieodpowiednią, pokrwawioną, zabłoconą, bezwarunkowo wówczas spółdzielnia ma pełne prawo odmówić jej przyjęcia, lecz, niestety, odrzucano i takie zające, którym zasadniczo nic poważnego zarzucić nie było można.

Rozmawiałem w „Jedności Łowieckiej" na ten temat. Powiedziano mnie, że cena 600 zł. jest w pojęciu handlowym tak wysoka, że można za nią wziąć tylko sztukę eksportową. A tymczasem w handlu detalicznym zające w br. były sprzedawane w Polsce po cenach przeciętnych 700—900 zł za sztukę. Gdyby więc szarak, nabyty za 600 zł, nie był okazem odpowiadającym wymaganiom eksportowym, to czy sprzedanie go konsumentowi nawet za 700 zł stanowiłoby stratę dla spółdzielni? Coś tu jest chyba nie w porządku. A zajęcy na rynku był brak i myśliwy, powracający z polowania, często bywał zaczepiany przez przechodniów, wyrażających chęć nabycia szaraka.

Ta ostra klasyfikacja przyjmowanych na Dom Łowiecki zajęcy zahamowała w dużym stopniu akcję składania szaraków przez myśliwych. Ten i ów, dowiedziawszy się jak rzeczy stoją, wolał już nie ryzykować jazdy autobusem lub furmanką kilkanaście czy więcej kilometrów, by w końcu tułać się po mieście ze zbrakowanym przez spółdzielnię zającem i szukać nań kupca, a na dodatek być legitymowanym przez milicję, biorącą go za kłusownika.

Ciężką poniekąd sytuację członków wyratowało zarządzenie Komitetu Wykonawczego PZŁ, dopuszczające możliwość wpłacenia 600 zł zamiast ofiarowania zająca. Z „furtki" tej skorzystało wielu myśliwych, jednak moim zdaniem należało by w latach nadchodzących udostępnić też składanie zajęcy w naturze. Mamy wielu myśliwych niezamożnych, dla których nawet taki wydatek jest uciążliwy, gdy tymczasem szaraka, jako rzekomo „darmo" zdobytego, prędzej mogą złożyć, zwłaszcza gdy upoluje kilka sztuk w ciągu jednego dnia. Poza tym większość zajęcy myśliwi sprzedają „Jedności Łowieckiej" i przewożąc je, mogą jednocześnie dostarczyć zające na Dom Łowiecki.

W związku z możnością uiszczania opłaty, zamiast zająca, wiąże się i inne zagadnienie. Walne Zgromadzenie PZŁ nałożyło obowiązek składania zajęcy wyłącznie na członków PZŁ — posiadaczy pozwoleń na broń łowiecką. Było to rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ktoś, kto w ogóle nie poluje — nie może dawać zająca, bo musiał by chyba kupować go na ten cel w sklepie. Z chwilą jednak, gdy chodzi nie o samego zająca, lecz o jego równowartość w gotówce, obowiązek ten należy rozszerzyć na **wszystkich** członków PZŁ, gdyż nie ma podstawy do wprowadzania jakichś różnic pomiędzy myśliwymi i obciążania w dalszym ciągu tylko posiadaczy broni, którzy z tego tytułu i tak już ponoszą większe ciężary od członków nie polujących.

Powracając jeszcze do sprawy zajęcy, pragnę nadmienić, że w niektórych okolicach naszego kraju występują szaraki dziwnie małe, toteż tamtejsi myśliwi byli dotąd całkowicie pozbawieni możności zbycia zajęcy w Spółdzielni „Jedność Łowiecka", nie mówiąc już o tym, by mogli dać szaraka w naturze na Dom Łowiecki. I taką rzecz należało by rozwiązać pomyślnie. Niech te zające płatne będą nieco taniej, ze względu na swą wagę, ale Spółdzielnia winna je jednak kupować, a nie skazywać tamtejszych myśliwych na wyzysk przez handlarzy prywatnych.

Zbiórka zajęcy na Fundusz Budowy Domu Łowieckiego trwać będzie jeszcze 2 lata, należy więc już teraz, po rocznym doświadczeniu, zastanowić się nad wszelkimi usterkami, by w dalszym okresie cała ta akcja mogła rozwijać się pomyślniej, bez szkody dla dobra sprawy i interesów Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

Pozostaje jeszcze do omówienia sprawa punktów skupu zwierzyny, a tym samym jej odbioru na Dom Łowiecki.

Jak dotąd, punkty te znajdowały się przeważnie w większych miastach, posiadających oddziały „Jedności Łowieckiej". Takie postawienie rzeczy nie rozwiązywało należycie całego zagadnienia, gdyż wiele okolic, nawet zasobnych w zwierzynę, nie ma w pobliżu punktu skupu, a jak zaznaczyłem już wyżej — podróżowanie z jednym, czy dwoma zającami kilkanaście lub więcej kilometrów, nikomu się nie opłaca. Sprawa ta nie tyle dotyczy już zbiórki zajęcy na Dom Łowiecki, bo ostatecznie członek PZŁ może zamiast szaraka zapłacić 600 zł, ile samego skupu zwierzyny, której po polowaniu nie ma możliwości odesłać do Spółdzielni.

Kółka myśliwskie radzą sobie, jak mogą. W niektórych np. powiatach zarządy kółek przeznaczają całą upolowaną zwierzynę na z góry określonym terenie, na sprzedaż do

Dzień Kobiet w Polskim Związku Łowieckim

Staraniem Koła Związku Zawodowego Pracowników Handlowych i Biurowych przy P.Z.Ł., przy poparciu Komitetu Wykonawczego, odbyła się w dn. 8 marca br. uroczysta Akademia poświęcona Międzynarodowemu Dniu Kobiet. Za stołem prezydialnym, w pięknie ozdobionej sali świetlicowej, zasiadł Prezes Polskiego Związku Łowieckiego, gen. dr Bolesław SZARECKI. w asystencji Ob. Ob. Z. Trojanowskiej i W. Mackiewicz.

W zagajeniu, Przewodniczący Koła, Ob. E. Majewski przytoczył przykłady ofiarnej pracy pracownic Centrali P.Z.Ł. — Koleżanki z ekspedycji Łowca Polskiego — mówił — postanowiły z własnej inicjatywy zaoszczędzić P.Z.Ł. wydatków na sumę ok. 360.000 zł przy odbijaniu nowych klisz adresowych, przez wybranie około 20.000 klisz z roku ubiegłego. Dzięki dużemu nakładowi pracy i wysiłkowi Koleżanki te potrafiły do dnia 8.III.br. wybrać osiem tysięcy klisz adresowych i wysłać do nowozgłoszonych członków numery 1 i 2 Łowca Polskiego. Innym znów dowodem uspołecznienia Koleżanek z Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej jest powzięte przez nie postanowienie przedłużania codziennie pracy o jedną godzinę (od 16 — 17), dla umożliwienia członkom P.Z.Ł., pracującym w Warszawie wpłacenie składki członkowskiej.

Po zagajeniu, Ob. Z. Trojanowska, odczytała referat obrazujący osiągnięcia kobiet w Polsce Ludowej, przeciwstawiając im stanowisko kobiety w ustroju kapitalistycznym oraz dążenia kobiet na Zachodzie do zmiany istniejącego stanu rzeczy. Szczególną uwagę poświęciła prelegentka sytuacji kobiet w Z.S.R.R., roli ich w ostatniej wojnie narodowej oraz obecnie w okresie odbudowy Związku Radzieckiego.

Drugi referat, skierowany do Koleżanek pracy, wygłosiła Ob. W. Mackiewicz. Nawiązując do tragicznych wspomnień z okresu wojny i okupacji, do bohaterskiej postawy kobiet polskich, prelegentka stwierdza z dumą i radością, że tę samą postawę czynną i twórczą zajęła Polka dziś, w chwili przystąpienia Kraju do odbudowy zniszczeń wojennych. Warunkiem dobrego rozwoju życia społecznego, a w nim rodzinnego, jako podstawowej komórki, jest pokój, pokój prawdziwy. Pragną go wszystkie kobiety świata, bo zagłada wojenna obca jest tej, która daje życie. Jedynie w warunkach pokoju można kształtować nowego człowieka. Na zakończenie, składa prelegentka życzenie, skierowane do wszystkich kobiet, aby każda matka Polka, patrząc na swe dorastające dzieci, mogła pomyśleć z nadzieją i dumą: moje dziecko będzie pożytecznym członkiem społeczeństwa, moje dziecko będzie szlachetnym człowiekiem.

Przemówienia były przyjęte gorącymi oklaskami obecnych. Potem Prezes gen. dr Szarecki wręczył wyróżnionym pracownicom PZŁ dyplomy za wydajną i owocną pracę oraz nagrody pieniężne i książki.

ZAJĄC NA DOM ŁOWIECKI

(dokończenie)

Spółdzielni. W oznaczonym dniu wszystkie sąsiadujące ze sobą kółka opolują takie tereny i zebraną łącznie zwierzynę wysyłają wynajętym specjalnie na ten cel samochodem do oddziału Spółdzielni. Może to jednak być stosowane tylko w takich miejscowościach, gdzie znajdują się siedziby kilku kółek, jak np. w miastach powiatowych. Natomiast kółka wiejskie, znacznie od siebie oddalone, nie mogą już w ten sposób sprawy rozwiązać.

I na tę bolączkę trzeba by coś wymyślić. Może dało by się wysłać samochód z agentem Spółdzielni do centralnie położonej miejscowości pomiędzy kilku kółkami, które na kilkanaście dni wcześniej musiały by być powiadomione, że skup zajęcy i przekazywanie ich na Dom Łowiecki odbędzie się w danej miejscowości tego i tego dnia. Mam wrażenie, że tak pomyślana zbiórka dałaby bardzo dobre rezultaty. A już przede wszystkim trzeba stworzyć możliwie, jak największą ilość punktów skupu zwierzyny, co w sezone ubegłym trochę szwankowało.

Jak można było stwierdzić, zwierzostan zajęcy w łowiskach polnych stale się podnosi. Jeżeli jeszcze miejscami bywa inaczej, to wypadki takie świadczą o braku opieki nad danym terenem, albo o nadmiernie stosowanym odstrzale (kilkakrotne opolowanie w sezonie tego samego łowiska), co, pomimo istniejących zakazów, tu i ówdzie na wsi jeszcze się po cichu praktykuje. W każdym razie trzeba liczyć się z tym, że sezon nadchodzący da większą ilość odstrzelonych szaraków, niż rok poprzedni i do zakupu tych zajęcy placówki Spółdzielni „Jedność Łowiecka" muszą być przygotowane, z drugiej zaś strony myśliwi winni obmyślić plan zbycia ubitych zajęcy oraz możliwości najwygodniejszej ich dostawy do punktu skupu.

Moje dzisiejsze wywody na temat „zająca na Dom Łowiecki" nie są bynajmniej osławionym szukaniem dziury w całym, tylko zwróceniem uwagi na usterki, które dla dobra sprawy w przyszłych latach zbiórki zajęcy powtórzyć się już nie powinny.

TOMASZ ZAN

W lutym br. zmarł Tomasz Zan (senior) b. dyrektor Pomorskiego Oddziału PBR w Grudziądzu — później dyrektor Oddziału PBR we Lwowie.



Odszedł człowiek o nie pospolitym umyśle rewolucyjnym, wielkiej etyce ludzkiej, znawca i miłośnik przyrody, wieloletni myśliwy — jeden z organizatorów łowiectwa pomorskiego, późniejszy Prezes „Ponowy" jednego z najpoważniejszych towarzystw łowieckich w Małopolsce.

Do I wojny światowej położył duże zasługi na polu organizowania drobnego rolnictwa jako Prezes Towarzystwa Rolniczego w Kownie.

Do II wojny światowej z pełnym oddaniem wziął się do walki o reformę rolną i odniemczenie Pomorza przez likwidację dużych majątków, przeważnie magnaterii niemieckiej.

W okresie okupacji poszukiwany przez Gestapo usunął się w zacisze wsi Miechowskiej, gdzie pod obcym nazwiskiem zajął się prowadzeniem małego, paromorgowego ogrodu warzywnego, robiąc szereg doświadczeń i badań w dziedzinie mrozo-odporności naszych roślin — promieniując na całą okolicę swą wiedzą i sercem.

Całe życie interesował się badaniami Miczurina — w swoim czasie korespondował z nim i odwiedzał w Kozłowie, — a ostatnio przetłumaczył niektóre jego dzieła.

Po oswobodzeniu kraju z więzów okupacji prowadził wzorowe ogrodnictwo w majątku P.B.R. Studzionka — dochodząc do ciekawych i świetnych rezultatów w tej dziedzinie.

Ostatnio mieszkał w Boernerowie, gdzie zajmował się wyłącznie pisaniem szeregu prac, które ukażą się w druku.

JÓZEF GIEYSZTOR

O czystość języka łowieckiego

Artykuł kol. Szaszkiewicza pod tym tytułem, zamieszczony w Nr 8-ym „ŁOWCA POLSKIEGO“ z r. ub., wywołał liczne uwagi, świadczące o aktualności i ważności tematu. Nie mając możności podania tych uwag w całości ze względu na brak miejsca, pozwalamy sobie przytoczyć główniejsze zastrzeżenia, uzupełnienia i propozycje.

Kol. A. West proponuje zastąpić wyrazy „weksel“ i „flanka“ pochodzenia niemieckiego przez polskie odpowiedniki: „przesmyk“ i „skrzydło“. Nazwy te uzyskały już dawno prawo obywatelstwa i są w prawidłowej gwarze łowieckiej stosowane. Kwestionuje natomiast tenże autor zaliczenie „kapitalnego rogacza“, wraz z sarną do zwierzyny drobnej i powołuje się w tym względzie na autorytet Kol. Kawczyńskiego, autora dzieła „Łowiectwo“. Zdania co do tej klasyfikacji są istotnie rozbieżne, osobiście jednak skłaniam się raczej do zaliczania u nas sarny do zwierzyny grubej, co potwierdza choćby nakaz strzelania jej tylko kulą.

Kol. S. Barański przyłącza się również do zdania, iż sarnę zaliczyć należy do zwierzyny grubej, natomiast określenie „przesmyk“ uważa za właściwe uznawać za kierunek ciągu zwierzyny drobnej, gdyż gruba „ciągnie wagą“. Pozwoliłbym sobie być zdania, że takie rozgraniczenie dwu tych określeń nie jest ścisłe. Przesmykiem chodzą zarówno lis, jak dzik, czy jeleń ,zaś „waga“ jest właściwie oznaczeniem kierunku, w którym ciągnie zwierzyna, a nie ściśle wytyczoną drogą.

Za to słusznym wydaje się podział, przeprowadzony przez Kol. Barańskiego w stosunku do nazw samicy dzika: „Maciorą“ nazywa on matkę prowadzącą młode, sztuki jałowe i młode — „lochą“, starsze sztuki, chodzące samotnie „samurą“. Zasługuje na uwagę również odróżnienie nazw krwi u pewnych zwierząt. Pospolicie stosowany wyraz „farba“, jako określenie śladu krwi, pozostawionego przez zwierzynę postrzeloną, zmienia się w „posokę“ przy odyńcu, a w „juchę“ przy niedźwiedziu. Podobnież nazwa odnoży podlega u zwierząt łownych zmianom: zając ma „skoki“, sarna „cewki“, dzik — „biegi“, lis — „stawki“, niedźwiedź i wilk— „łapy“, jeleń — „badyle“, ptaki kurowate — „cieki“, ptaki wodne — „wiosła“ itd.

Kol. A. Rowińskiego rażą często używane naleciałości niemieckie, jak np. „rudel“ jeleni — zamiast „chmara“ „ficlaus" — zamiast ;;bekasik“, oraz „anlauf“, „grandle“, czy „buszować“ — nie posiadające dotąd odpowiednika polskiego. „Kąpielisko“, mające zastąpić niemieckie określenie — „Suhle“ dla oznaczenia błota, w którym tarzają się dziki, proponuje Kol. Rowiński zastąpić przez wyraz „brochowisko“ od staropolskiego jakoby czasownika „brochać“, czyli tarzać się w błocie. Nie wydaje się to jednak szczęśliwym nowotworem.

Gorąco wreszcie powstaje Kol. Rowiński przeciw popularnym dziś nazwom „stand“, „strzelec standowy“, które autor wyprowadza również z języka niemieckiego. Wyraz „stand“ jest pochodzenia angielskiego i oznacza „stanowisko“. Ponieważ organizację zawodów strzeleckich zapożyczyliśmy z Anglii, przeszła więc ona do nas wraz z nazwą „strzelectwo standowe“ zyskała już obywatelstwo u nas, podobnie jak i w innych krajach i nie powinna razić. Nie wyłącza to, oczywiście, możliwości znalezienia z czasem odpowiednika polskiego.

Warszawa, dnia 4 marca 1950 r.

MINISTERSTWO LEŚNICTWA
Zn. G.M./Prez. 999/27

ZARZĄDZENIE

Wobec nadmiernego wyniszczenia lisów na terenach lasów państwowych zarządzam na okres czasu od dnia 5.III. do dnia 31.VII.1950 r, zamknięcie polowania na lisy na obszarach podległych administracji państwowego gospodarstwa leśnego.

Za
M I N I S T E R
(—) Rykowski
Pods. Stanu

Otrzymują do wiadomości:

1. wszystkie jednostki organizacyjne Ministerstwa Leśnictwa,
2. C.Z.P.L.
3. P.C.L.P.N. „Las“
4. Biuro Projektów Leśnictwa
5. I.B.L.
6. P.C.D. „Paged“,
7. C.Z.L.P. — **do niezwłocznego wykonania.**

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ

Inż. Marian Stypiński: OPOWIADANIE MATEUSZA. Grójec, 1949 r., str. 8.

Staraniem Powiatowej Rady Łowieckiej w Grójcu wyszła z druku broszurka kol. M. Stypińskiego, mająca za zadanie — jak to w przedmowie podkreśla Kol. E. Ferenstein — „obudzić w młodzieży wiejskiej umiłowanie skrzydlatych i czworonożnych mieszkańców naszych lasów i pól".

Pracy swej nadał autor formę opowiadania starego Mateusza, który przed gromadą pastuszków opisuje pełne grozy przeżycia zająca i starki — kuropatwy, którym ze wszech stron grożą niebezpieczeństwa w postaci drapieżników, włóczących się samopas psów i kotów, ale przede wszystkim ze strony ludzi, zastawiających na nich pułapki i wnyki, wybierających z gniazd jaja i pisklęta, łowiących młode zajączki.

Usprawiedliwiając drapieżniki, które, żywiąc się częściowo zwierzyną, pełnią jednak równocześnie i wielce pożyteczną rolę sanitariuszy, stary Mateusz tembardziej piętnuje przestępczą działalność człowieka, zwłaszcza młodzieży, która przez nieświadomość i lekkomyślność jest wrogiem naszej zwierzyny polnej, zamiast być jej obrońcą i opiekunem.

Barwne opowiadania ożywia autor stosowaniem gwary myśliwskiej, której objaśnienia podaje w końcu broszurki. *J. G.*

Szczenięta

hodowli „Splendor" z miotów wiosennych: pointery, settery, wyżły kontynentalne gładko i szorstkowłose. Wiadomość: Zw. Kynologiczny, Warszawa N. Świat 35. Listownie (znaczek pocztowy) A. Brudnicki, Wwa - Okęcie, ul J. Marchlewskiego10

II Ogólnokrajowa Wystawa Psów

Związek Kynologiczny w Polsce organizuje w dniu 4 czerwca 1950 r. — III OGÓLNOKRAJOWĄ WYSTAWĘ PSÓW W KATOWICACH (w hali wystawowej naprzeciw Parku Kościuszki).

W sprawie kart zgłoszeniowych, zapisów psów na Wystawę i informacji należy się zwracać DO SEKRETARIATU T.O.Zw. — KATOWICE, UL. WARSZAWSKA 20, do dnia 13 maja br.

Ze względu na ograniczoną ilość miejsc wystawowych — Komitet Wykonawczy Zw. Kynologicznego zawiadamia, iż Rady Oddziałowe Związku winny kierować na Wystawę tylko takie psy, które uzyskały na miejscowych przeglądach conajmniej oceny — dobre.

—oOo—

Konkursy wiosenne

Związek Kynologiczny w Polsce organizuje w dniu 30 kwietnia 1950 r. w Mrokowie k. W-wy KONKURSY WIOSENNE (Field trialsy) DLA PSÓW RAS ANGIELSKICH I KONTYNENTALNYCH w klasie otwartej i młodzieży. Początek Konkursów o godz. 8-ej rano.

W ramach Konkursów nastąpi otwarcie Stacij Hodowlanej w Mrokowie.

Zgłoszenia należy kierować do Sekretariatu Związku, Warszawa, N. Świat 35 — do dnia 23.IV. br.

Wyjazd z W-wy zorganizowany autobusami linii Warszawa — Grójec.

Wszyscy zainteresowani hodowcy proszeni są o wcześniejsze zamawianie miejsc.

W SPRAWIE WYŻŁA POLSKIEGO

Z prawdziwym zadowoleniem konstatuję, iż dyskusja zapoczątkowana przeze mnie w Nr 1/2 z 1949 r. Łowca Polskiego na temat wyżła polskiego. wzbudziła oddźwięk zarówno na łamach Łowca Polskiego, jak i Psa. W sprawie tej zamierzam zabrać jeszcze głos, odpowiadając zbiorowo na wszystkie cenne uwagi mych Szanownych polemistów; lecz odczekam z tym narazie, ponieważ wiem, iż oczekiwać należy jeszcze kilka autorytatywnych wypowiedzi. Nim to jednak nastąpi jestem zmuszony w związku z artykułem p. Egona Raszke w lutowym numerze Łowca Polskiego z br. wyjaśnić nieporozumienie, które powstało nie z mojej winy, lecz wskutek złośliwego chochlika drukarskiego.

W artykule moim, który zapoczątkował dyskusję, opuszczono dwa wiersze. Pierwszy błąd—przy opisie ucha — zniekształcił zdanie. Drugi natomiast całkowicie przekręcił moją myśl. Sprostowanie co prawda ukazało się na stronie ostatniej w marcu 1949 r., lecz widocznie uszło uwagi p. Raszke. Zupełnie zgadzam się z Szanownym Autorem. co do dyskryminacji maści czarnej u wyżłów kontynentalnych i dlatego też napisałem w artykule: „maść dowolna, — pożądana **brązowa, brązowoszara, dereszowata i w białe łaty — nie pożądana** „czarna".

Niestety, w układzie drukarskim wypuszczono słowo podane tłustą czcionką i stąd nieporozumienie.

L. Smyczyński

Kalendarzyk myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dnia 3 grudnia 1927 roku i rozporządzenia Ministra Leśnictwa z dnia 22 marca 1949 roku (Dz. Ust. RP. nr 21) polowanie na następujące zwierzęta łowne jest dozwolone (pole białe), wzbronione (pole czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	Kwiecień	Maj
Głuszce koguty		15 ■
Cietrzewie koguty w województwach: Białystok, Kielce, Warszawa, Kraków, Rzeszów		15 ■
Cietrzewie koguty w pozostałych województwach	■	■
Dzikie kaczory w województwach Białystok, Gdańsk, Lublin, Olsztyn, Toruń, Poznań, Szczecin		15 ■
Dzikie kaczory w pozostałych województwach	■	■
Bataliony	■	■
Jastrzębie gołębiarze, krogulce, wrony, sroki		
Wilki, kuny kamionki, tchórze, gronostaje, łasice		
Króliki		

JEDNOŚĆ ŁOWIECKA

SPÓŁDZIELNIA Z O. U.

WARSZAWA, ul. CHMIELNA 1/3

zawiadamia Przedstawicieli Spółdzielni

o Walnym Zgromadzeniu Członków

które odbędzie się w dniu 13 maja 1950 r., o godz. 10-tej w **Poznaniu**. **w sali konferencyjnej Giełdy Zbożowo-Towarowej** przy ul. **Marcinkowskiego 3**.

Porządek dzienny:

1. Zagajenie, wybór prezydium i przyjęcie regulaminu obrad Walnego Zgromadzenia.
2. Odczytanie protokółu poprzedniego Walnego Zgromadzenia,
3. Sprawozdanie Zarządu z działalności Spółdzielni za 1949 r.
4. Sprawozdanie Rady Nadzorczej.
5. Sprawozdanie z ustawowej rewizji i odczytanie wniosków z protokółu polustracyjnego.
6. Dyskusja nad sprawozdaniami.
7. Zatwierdzenie bilansu na dzień 31.XII.1949 r. i udzielenie absolutorium Zarządowi.
8. Podział czystej nadwyżki za 1946 r.
9. Plan pracy i plan kosztów na 1950 r.
10. Oznaczenie najwyższej sumy zobowiązań.
11. Zmiany statutu Spółdzielni.
12. Uchwalenie regulaminu Rady Nadzorczej.
13. Wybory uzupełniające do Rady Nadzorczej.
14. Wolne wnioski.

WZYWAMY KOLEGÓW I KOŁA ŁOWIECKIE

do udziału w akcji

»DNIA LASU«

W związku z ogólnokrajową akcją „Dnia lasu,"—wzywamy tak, jak i w latach ubiegłych, wszystkich członków Polskiego Związku Łowieckiego i wszystkie Koła Łowieckie do gremialnego wzięcia udziału w tej ważnej i pożytecznej akcji społecznej.

Poza oddaniem swej bezinteresownej pracy przez wszystkich członków Polskiego Związku Łowieckiego dla akcji „Dnia Lasu" w ramach imprez organizowanych przez Terenowe Komitety „Dnia Lasu", wzywamy Koła Łowieckie do dalszego współzawodnictwa w zakładaniu remiz śródpolnych na polnych obwodach łowieckich i półek hodowlanych w leśnych obwodach łowieckich.

Warszawa, dnia 1.IV.1950 r.

KOMITET WYKONAWCZY
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

UWAGA!

Przypominamy kolegom-czytelnikom Łowca Polskiego, że zmiana adresu kosztuje zł 50.

Przy zmianie adresu prosimy o podanie poprzedniego miejsca zamieszkania oraz Rady Powiatowej lub Wojewódzkiej, w której została wpłacona składka członkowska na rok bieżący. Wyżej wymienione dane są konieczne, aby adres został prawidłowo zmieniony.

CENY OGŁOSZEŃ:

Za ogłoszenie jednorazowe na okładce lub za tekstem pobiera się: za całą stronę — 30.000 zł, za 3/4 strony — 25.000 zł, za 1/2 strony — 20.000 zł, za 1/3 strony — 15.000 zł, za 1/4 strony — 12.000 zł, za 1/6 strony — 10.000 zł, za 1/8 strony — 8.000 zł. Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne, prywatne, zwykłym drukiem — 50 zł za wyraz, grubym drukiem — 100 zł za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Gospodarstw Rolnych korzystają z 50% zniżki, jeśli ogłoszenia nadsyłane są *bezpośrednio* do Administracji pisma.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Warszawa, Nowy Świat 35. Konto PKO I-1077
Komitet Redakcyjny: Z. Korolkiewicz (przewodniczący), J. Gieysztor (redaktor), członkowie: J. Bohusz, E. Frankiewicz, S. Ihnatowicz, Z. Kowalski, R Kryspin, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, H. Zapolski. Doradca graficzny — S. Rozwadowski

Zamówienie Nr 106 z dn. 17.III.1950 r. Nakład 30.000 egz. Ukończono w kwietniu 1950 r. B-107,707
Druk „Prasa Demokratyczna — Nowa Epoka", W-wa. Śniadeckich 16.